



ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

Ściana śmiechu


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

Ściana śmiechu

Opracowanie tej książki zostało sfinansowane na pamiątkę Wandy Romualdy Malinowskiej z domu Skłodowskiej, 16/04/1940–23/03/2019.

ZWALCZAJMY LIGĘ ANTYALKOHOLOWĄ

Nie wolno zwalczać alkoholizmu, bo kartofle mogą zrobić karierę jedynie pod postacią alkoholu. Szary kartofel musi wiedzieć, że ma pewne szanse, aby po najdłuższym, pełnym niewygód życiu dostać się do rafinerii. Jeśli szary kartofel nie będzie miał tej świadomości, znudzi mu się rosnąć na polu i pójdzie się utopić w najbliższej rzece. I to niejeden. Całe pola tak będą robić.

W rezultacie ludzie z głodu poumierają.

Należy zważyć, że ogromny procent kartofli ginie jako zwykły, nieprzetworzony pokarm, jako ordynarne pożywienie, z perspektywą mało pociągającej przyszłości i tylko szczupła garstka kartofli, tylko szczęśliwa cząstka kartoflanego społeczeństwa, elita wybrańców losu może zrzucić z siebie swą kartoflaną, ziemską powłokę i przejść do innego wyższego bytu, odsłonić swego ducha, który jest alkoholem, i trwać w kontemplacji, w rozbutelkowanym niebie.

Naturalnie, przeciwnicy alkoholu powiedzą, że nie chodzi im o kartofle, lecz o ludzi. Być może, że postawią to lekkomyślne twierdzenie.

Wtedy będę zmuszony nazwać ich egoistami.

Bo niby jak?

Kiedy ma się do wyboru kartofel albo człowieka, oni stają po stronie człowieka. Człowieka, który jest przecież silniejszy od kartofla. Przeciw słabszemu!!! I w tym celu zakłada się ligę! I to ma być ładnie! I człowiek z poczuciem etyki może to pochwalić!

Nie, panowie.

Jeszcze są ludzie, którzy nawet w dzisiejszych czasach pięści potrafią ująć się za sprawiedliwością. Pomóc słabszemu. Pocieszyć.

Biedne, małe, bezdomne kartofle!

Wódkę chcą zniszczyć, tę jedyną rzecz, która jest ich dumą.

O! Nie! Ja nie płaczę! To tylko głos mi drży tak jakoś dziwnie. Nie wstydzę się tego wzruszenia. Jest ono męskie. Każdy mężczyzna musi się wzruszyć na widok znęcania się nad czymś tak słabym, tak bardzo wymagającym opieki, jak kartofel.

To jest wzruszenie zdrowe i wara tym, co powiedzą, że ja tylko tak mówię, żeby zdobyć sobie popularność wśród kartofli. Nieprawda. Muszę. I to jest właśnie moja nieskazitelna postawa.

Możliwe, że odtąd ludzie zaczną mną gardzić, a kartofle nigdy nie dowiedzą się o tym, że stanąłem w ich obronie, ale ja nie szukałem osobistych korzyści. Zresztą, być może niedaleka przyszłość okaże jeszcze, do czego są zdolne kartofle.

Muszą się tylko wzajemnie uświadomić.

Muszą zrobić po raz pierwszy takie ludzkie prawdziwe wybory i same się rządzić, a nie żeby jakiś pierwszy lepszy człowiek zasadzał je na jak długo chce, a po tym jeszcze je kopał.

Tak. Walka z alkoholizmem godzi w zdrowy interes kartofli. Dlatego w imię ideału należy wypowiedzieć jej wojnę z otwartą przyłbicą!

W kraju kartofli zwalczą się alkoholizm! A gdzie prawa gościnności? Gdzie poczucie sąsiedztwa?

One rosą obok nas!

Gdzie serce?

Czy panowie z kongresu przeciwalkoholowego wzięli pod uwagę zagadnienie, które tu poruszam?

Czy panowie — na przykład — wiedzą ile my, ludzie, władcy świata, zawdzięczamy kartofłom?

Dla czyjego dobra chcecie tak krzywdzić kartofle?

Dla dobra ludzi?

Ależ porównajcie przeciętny kartofel z przeciętnym człowiekiem.

Czy kartofel pcha się na kartofla i nawet nie powie przepraszam?

Czy kartofel mówi „taka twoja nać”? Nie! One żyją w ciszy. Pęczkami.

Czy kartofel ubiera się jak koczokodan i pyta później: „Powiedz, że dzisiaj jestem dobrze ubrana”?

Nie! Kartofel zdobi się tylko we własną urodę.

Czasem wepnie sobie motylka w swoje zielone włosy.

I to jest wszystko.

O! Gdyby choć jeden członek Ligi Antyalkoholowej zadumał się na chwilę nad kartofliskiem, zrozumiałby całe dostojeństwo kartofli, a nazajutrz zrobiłby wszystko, aby rozwiązać swą szkodliwą instytucję.

Dlatego proponuję założenie ligi, która z całą stanowczością, ofiarnością i samozaparciem, w myśl przytoczonych przeze mnie hasel nazwie się Ligą Zwalczania Ligi Antyalkoholowej. A nazwa ta nie będzie frazesem.

Ja pierwszy zgłaszam do niej swój akces i jako człowiek, i jako kartofel.

W ŻOŁĄDKU PIJAKA

Trzeba raz wreszcie oświetlić kwestię pijaństwa od wewnątrz. Trudne to zadanie biorę na swoje barki. Może je udźwignę.

Królikiem doświadczalnym będzie w tym wypadku pan Teofil Brzyd, który zalał się w pestkę w restauracji „Ararat”. Sam pan Teofil Brzyd nic nas nie obchodzi. Oświetlamy bowiem od wewnątrz. Zbrojni we wszystkie narzędzia konieczne do wnikliwej obserwacji podchodzimy do zagadnienia od strony żołądka.

A było to tak. Smutna sardynka — ta spod pierwszego kieliszka wódki, posprzeczala się z piklingiem¹, który pływał w jednym piwie. Była to zażarta kłótnia na temat wyższości Morza Śródziemnego nad Północnym.

Obie osobistości sprzeczały się zajadle, zakłócając zacisze żołądka. Pan Teofil poprawiał się tylko na krześle i pośpiesznie zażądał rachunku. Czuł się widocznie nieswojo.

Tymczasem na pomoc sardynce nadpłynęły koleżanki z tej samej puszki, osaczyły piklinga i zaczęły obrzucać go sałatką z mięsa. Samotny i zbity pikling musiał uciekać. Zdecydował się. Dał nura w piwo i pomknął. Sardynki nie dały za wygraną. Ścigają.

Biedny pan Teofil wstał, wyszedł na próg restauracji. Był nieszczęśliwy, bezradny. Maleństwo.

Zapłakał.

Tymczasem dziwna gonitwa rozpętała się na dobre. Zwinny pikling wyprzedzał sardynki o dwie długości. Sardynki szły w cuglach. Lekko im było. Bez głów tak goniły, jak to zawsze bywa z sardynkami z puszki.

Pikling uciekł.

Szczęśliwy odpoczywał sobie na trotuarze². Sardynki niebawem go dogoniły. Policjant natomiast nie potrzebował gonić pana Teofila. Podszedł. Wziął go za ręce jak niemowlę, ułożył Brzydą w dorożce i zawiózł do komisariatu.

Sąd grodzki skazał pana Teofila Brzydą za opilstwo.

¹pikling — lekko solony, wędzony śledź. [przypis edytorski]

²trotuar (daw.) — chodnik. [przypis edytorski]

PRECZ Z POŚREDNICTWEM

— Precz z pośrednikami!

— Precz z pośrednikami!

— Droga od źródła do konsumenta powinna być skrócona. Jeszcze raz powtarzam, panowie: Precz z pośrednictwem!

Gruby pan, który aż spurpurowiał od tych okrzyków, powiódł szklanym wzrokiem po obecnych, podniósł do góry pusty kieliszek i trzasnął nim o posadzkę, że aż szkło bryznęło jak woda.

Po czym krzyknął raz jeszcze:

— Precz z pośrednikami!

— Należy skracać tę drogę. — Tu porwał trzy kieliszki ze stołu i znowu trzasnął nimi w posadzkę.

— Kieliszki nie są nam potrzebne — zawołał raz jeszcze, tłukąc kilka kieliszków. —

Bo co to jest kieliszek? Pośrednik pomiędzy człowiekiem a butelką!

— Ależ niech pan się tak nie denerwuje! — próbowali uspokoić go towarzysze.

— Ja się denerwuję? Ja się wściekam po prostu! Szau dostaję, jak zobaczę kieliszek.

O! O! O! Na każdym stole! Wszędzie! Co krok! Kieliszki! Niepotrzebne naczynia!

Tu porwał pięć dalszych i roztrzaskał je niemilosiernie.

— Nie potrzeba pośredników. Mogę pić prosto z butelki.

I rzeczywiście:

Mógł z jednej, mógł z drugiej, mógł z trzeciej.

Kelner, zaniepokojony tymi możliwościami, zbliżył się z rachunkiem.

Gruby pan zaczął przyglądać się pozycjom.

— A to za co?

— Za potłuczone szkło.

— Nie płacę.

— Pan szanowny potłukł.

— I owszem.

— Więc kto zapłaci?

— Nie ja, bo to były moje kieliszki. Pan nie wie, co pan na stole stawia, drogi panie.

Kelner był zakłopotany.

— Ależ szanowny pan potłukł.

— Tak, ale zawsze noszę z sobą w palcie dużo kieliszków, bo lubię tłuc szkło po pijanemu, a zasadniczo jestem oszczędny. Tak taniej mi wypada. Rozumie pan? Kalkulacja!

Kelner nie dowierzał.

Gruby pan się obraził. Wezwał policję. Spisano protokół. Okazało się, że kieliszki rzeczywiście należały do oszczędnego hulaki.

SAMOCHÓD PIJAKA

Nie będę upierał się przy autentyczności mojej opowieści, jednak inteligentny czytelnik zgodzi się, że przedmioty martwe nabierają cech swoich właścicieli. Co ja zrobię, kiedy rzeczywiście nabierają. Inaczej na przykład wygląda krawat pedanta, a zupełnie inaczej krawat pijaka. Ubranie człowieka roztargnionego — przyznacie — jest zupełnie inne jak ubranie faceta, który lubi rozwiązywać krzyżówki, choćby były wykonane (ubrania) z tego samego materiału i u tego samego krawca.

Ale żeby samochody dziedziczyły skłonność swych właścicieli, to już jest przesada.

Niestety. Z obowiązku po prostu muszę przytoczyć fakt może banalny, ale groźny.

Pod wpływem ogólnego zapału do motoryzacji pewna mieszczańska rodzina (sześć osób w formacie gabinetowym) postanowiła nabyć sobie auto.

Była to solidna, trawożerna rodzina i ponieważ jej głowa — pan domu — chciał uniknąć wydatków na szofera, a sam nie był jeszcze dostatecznie wyrobionym kierowcą, kupili na początek używane auto. Biedacy nic nie wiedzieli, że przedmioty martwe zarażają się skłonnościami swych właścicieli, a jeszcze mniej orientowali się w tym, że poprzedni właściciel samochodu był zdeklarowanym, dobrze znanym w naszym mieście pijakiem.

Kiedy mieli już auto, cała famuła³ uplasowała się w jego wnętrzu. Pan domu zasiadł przy kierownicy.

Pojechano do Braci Jabłkowskich⁴ po jakieś zakupy.

Wszyscy wysiedli z auta. Udano się po zakupy. Jakież było zdziwienie, kiedy wychodząc ze sklepu, skonstatowano⁵, że auta nie ma.

Zniknęło.

Rozpoczęto poszukiwania.

Okazało się, że stoi przed najbliższą knajpą. Przed Nową Gospodą⁶.

Ten niewytłumaczalny fakt bardzo wszystkich zdenerwował. Mieli jednak zakupy. Musieli jechać na ulicę Moniuszki. Wsiedli. Pojechali.

Zostawili auto przed sklepem i znowu, kiedy wyszli po załatwieniu sprawunku, przekonali się, że auta nie ma.

Niepomiernie rozgoryczeni rozpoczęli znów poszukiwania.

Auto stało przed Adrią⁷.

Więc co właściwie?

Ustawia się z przyzwyczajenia? Okropne!!!

Przekonano się wreszcie, że auto zostawiane gdziekolwiek, zawsze stawało przed najbliższą knajpą. Postanowiono jechać do Colombiny⁸. Żeby nie uciekło.

Ustawiono je przed owym danciem i wszyscy weszli do środka, ufni, że tym razem kiedy wyjdą, zastaną je na tym samym miejscu.

Jakież było zdziwienie, gdy opuszczając lokal, nie zastano samochodu tam, gdzie go pozostawiono.

Niestety. Auto stało, owszem, ale przed najbliższym komisariatem.

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że nie wolno kupować maszyn u pijaków.

DZIWNY FACH

Wszystko, proszę wysokiego sądu, było tak: ja jestem fachowiec od noszenia transparentów z napisami, z afiszami. Plakat na deseczkę się przybija, deseczkę na kijku się umieści i ja to wszystko noszę po ulicy, ale chlebobawca nie ma nijakiej pewności, czy gdzie po bramie nie odpoczywam. Znakiem tego w kilku barach kredyt mi otwiera czasowy i punktualny.

— Jak to „punktualny”?

— Ano, kredyt punktualny, to jest taki, że jak punkt o jakiejś godzinie przyjdę do baru Pod Setkę⁹, to mi jedną większą na szczoł¹⁰ chlebobawcy wolno wypić. Jedne takie knajpę mi wyznaczili na Placu Teatralnym, drugom naprzeciwko dworca, a trzecią na Nowem Świecie. Co godzina z wybiciem zegara mam prawo wypić jedną czystą, na Teatralnym. Trzydzieści minut potem, czyli jak pół godziny bije, mam prawo wypić naprzeciwko dworca, a w tej trzeciej knajpie to wolno pić dopiero, jak do następnej godziny brakuje kwadransa.

— No, dobrze, ale może pan przy tym systemie pić tylko w jedyną knajpię co godzinę i wcale nie chodzić z transparentem.

— E... nie. Pracowity jestem człowiek. Nie ma obawy, że bym opuścił którą kolejkę. Dziesięć lat pracuję w tym fachu. Nawet tak się do tego przyzwyczaiłem, że jak czasem bez pracy jestem, to przez cały dzień od baru do baru chodzę i piję po jednym kieliszku w każdej knajpie. Muszę także dodać, że nie umiem pić w knajpie, która nie znajduje

Pijaństwo, Miasto

³famuła (żart.) — familia, rodzina. [przypis edytorski]

⁴Dom Towarowy Braci Jabłkowskich — wielki warszawski dom towarowy, otwarty w 1914 przy ul. Brackiej 25; w 1950 odebrany rodzinie Jabłkowskich i upaństwowiony, w 1996 firmę reaktywowano i zwrócono jej budynek. [przypis edytorski]

⁵skonstatować — stwierdzić. [przypis edytorski]

⁶Nowa Gospoda — dawny warszawski bar i restauracja przy ul. Jasnej 4. [przypis edytorski]

⁷Adria — elegancki lokal funkcjonujący w Warszawie przy ulicy Moniuszki 10 w latach 1931–1944. [przypis edytorski]

⁸Colombina — przedwojenny warszawski danciem przy ulicy Jasnej 3. [przypis edytorski]

⁹Pod Setką — przedwojenny warszawski bar mieszczący się w nieistniejącej dziś kamienicy Pinkusa Lothego na rogu Alei Jerozolimskich oraz Marszałkowskiej. [przypis edytorski]

¹⁰na szczoł (ros. на чѐм) — na rachunek. [przypis edytorski]

się na rogu ruchliwej ulicy. Bo ja piję pod dzwonki. Czyli jak jest dzwonek, żeby jedna strona jezdni jechała¹¹, to ja piję i już żadnej innej zakąski nie potrzebuję.

— Niech oskarżony się streszcza.

— Wychodzę ja z tego baru i patrzę, a tu przede mną inny z afiszem dyguje¹². „Odsuń się, konkurencjo — powiadam — bo nie możemy tak jeden za drugim iść, a ja pod Setkę muszę zdążyć”. A on na to powiada, że także samo pod Setkę idzie i też ma afisz kinowy, tylko innego kina. „Ta sama branża jesteśmy, to chodźmy się razem napić”. Wypiliśmy najpierw te kazionne¹³ wódki, a po tym częstowaliśmy się sami, aż wieczór się zrobił, więc poszliśmy każdy do swojego kina. Przychodzę, a mój chlebobdawca, od bydłaków mi nawymyślał i dniówki nie chciał zapłacić. Więc obiłem go transparentem i dopiero wtedy zauważyłem, żeśmy w knajpie pomylili się z kolegą i każdy nie swoją reklamę nosił. Jego też wyrzucili za to z tamtego kina.

Pan Zygmunt Wańtuch został skazany za obicie w stanie nietrzeźwym właściciela podmiejskiego kina.

TULIPAN

Pan Marian Kokilka mieszkał w jednym z podwarszawskich pensjonatów i bardzo sobie chwalił takie letnisko. Po polach chodzisz, opalasz się, a jak deszcz zacznie padać, w tramwaj wsiądziesz i za dwadzieścia minut już jesteś u Kleszcza¹⁴ lub w Kokosie¹⁵, jednym słowem w sercu Warszawy.

Ale życie w pensjonatach ma także swoje wady. Bo to, proszę państwa, obcych się nazjeżdża, obserwują człowieka i zaraz tak obgadają, że suchej nitki na nim nie zostawia. Czasem nie można wytrzymać. Zawziętość i wzajemna nienawiść pensjonariuszy dochodzi pod koniec wakacji do takiego natężenia, że i procesy na tym tle wybuchają, jak to miało miejsce z panem Kokilką.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że pensjonat Wanda to nie była żadna knajpa, gdzie jest i „dla pań”, i „dla panów”. Nie! Tam było jak w każdym porządnym domu, to znaczy na końcu drugiego przedpokoju skromnie, cichuteńko i wstydliwie stał sobie jeden jedyny taki pokoiczek — szafa właściwie.

Pan Kokilka już był się do snu przykładowie ułożył¹⁶ w długiej, białej, nocnej koszuli, kiedy to pokoik ów uporczywie zaczął mu się przypominać. Wstał, włożył nocne pantofle i wyjrzał przez drzwi, żeby się upewnić, czy w jadalnej sali, przez którą należało przejść, nie ma przypadkiem pań. Nie było nikogo.

Więc poszedł.

Niestety, kiedy zamierzał wrócić, okazało się, że kilka pań szczebiotało w jadalnym. Pan Kokilka, zachowując wszystkie środki ostrożności, wycofał się dyplomatycznie z powrotem do cichuteńskiego i wstydliwego pokoiczku. Czas płynął. Chłodne są wrześniowe noce, a ów pokoiczek miał naturalną wentylację, sprytnie uzyskaną przy pomocy wybicia wszystkich szyb. Pan Kokilka naprawdę chciał już przejść do swojego pokoju. Niestety. Panie nadal ujadają w jadalnym. Wiadomo: zejdą się, o sukniach gadają. Wyjrzał znowu. Było gorzej: usiadły teraz do brydza. Właśnie zaczynały licytację.

Teraz zrozumiał, że jeśli nie chce nocować w pokoiczku, musi przedostać się za wszelką cenę przez zaokupowany pokój. Spojrzał na swój strój i żałośnie westchnął. Długa, biała, nocna koszula! Ręce opadły mu z rozpaczy. Potem podniósł je wraz z koszulą, wymierzył wzrokiem kierunek na drzwi, owinał głowę w biały całun i będąc pewnym swego incognito, szybkim krokiem wszedł między stateczne białogłowy. Nagi był to mężczyzna, a zamiast głowy niósł tulipan, czy turban, który czynił go niepoznawalnym.

Krzyk zrobił się wielki. Panie rozfrunęły się od brydżowego stolika. Ale pan Kokilka już był w przedpokoju i stamtąd przedostał się niepostrzeżony do swego pokoju, gdzie

¹¹*jak jest dzwonek, żeby jedna strona jezdni jechała* — dawniej do regulacji ruchu na skrzyżowaniach używano sygnalizacji świetlnej z dzwonekami jako dodatkowymi sygnałami dźwiękowymi. [przypis edytorski]

¹²*dygować* (pot.) — dźwigać. [przypis edytorski]

¹³*kazionny* (ros. *казённый*) — służbowy. [przypis edytorski]

¹⁴*u Kleszcza* — zapewne chodzi o Zakopiańską, warszawską kawiarnię z danciem na ul. Niecałej, częściowo w Ogródzie Saskim, własność firmy Erazm Kleszcz i S-ka. [przypis edytorski]

¹⁵*Kokos* — przedwojenny bar w centrum Warszawy, na ul. Nowy Świat 43. [przypis edytorski]

¹⁶*był się (...) ułożył* — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym; dziś: ułożył się. [przypis edytorski]

zasnął kamiennym snem ludzi o kamiennym sercu.

Nazajutrz, przy wspólnym śniadaniu, wyczuł z przykrością, że wszystkie oczy zwrócone są na niego. Panie, które wczoraj grały w brydża, nie przywitały się z nim nawet. Nie rozumiał. Przecież wczoraj ukrył twarz, zawinał ją starannie. Wieczorem właściciel pensjonatu wyrzucił go, motywując, że wszyscy uzależniają swój dalszy pobyt w Wandzie od najszybszego wyjazdu pana Kokilki. Dowiedział się także, że panie wniosą nań skargę do sądu.

— Pan się jeszcze dziwi. Bezwstydnie paradował pan wczoraj goły po jadalnym pokoju z głową okręconą nocną koszulą...

— A skąd pan wie, że to ja?...

— Jak to! Przecież tylko pan jest rudy w naszym pensjonacie.

Tak! O tym pan Kokilka nie pomyślał i teraz sąd grodzki skazał go na miesiąc aresztu z zawieszeniem na dwa lata.

ZEGARY ZIEWAJĄ

Właśnie w tej samej chwili trzasnęło trzysta drzwi w trzystu warszawskich mieszkaniach. Trzysta żon z oburzeniem zrugalo trzysta służących, a trzystu mężów usiłowało zagłębić się w przerwanej lekturze gazety.

Trzysta, a może więcej?

Mieszczanie kłócą się codziennie, jednak zasadnicze rozmowy mają zwykle miejsce w soboty wieczorem i w niedziele. Kołtun ma na jeden dzień w tygodniu zdjętą z szyi obrozę. Kołtun w święta ziewa, kwaśniej i bardzo łatwo może się zirytować.

Wiadomo, że ziewanie jest niekosztowne. Nie ma w tym wysiłku fizycznego ani umysłowego. Ziewaj, a oszczędzasz, ziewaj, a świat wyda ci się błahy. Ziewaj, a nie będzie ci się chciało wyjść z domu czy zabrać się do rzeczowej lektury. Ziewaj, bo ziewając, nie będziesz potrzebował myśleć.

No... co? Spróbowaliście?

Błogo?

Prawda?

Kiedy naziewałeś się dostatecznie, możesz śmiało zabrać się do lektury kryminalnej powieści. Po tym dojdiesz do wniosku, że nie warto iść do teatru. Następnie wcześniej położysz się spać. I oto nie masz żadnych wydatków i jeszcze zaoszczędziłeś troszkę zdrowia. Wypocząłeś.

Życia nie oblicza się przecież na ilość dokonań ani przeżyć. Życie to tylko ilość kartek zerwanych z kalendarza. Niejeden człowiek aż do śmierci nie wie, że nie żył nigdy, a całe życie przeczekiwał obok swego istnienia.

Właśnie owe tłumy bezwolnych kibiców życiowych w niedzielę wysypują się na miasto i leniwie trawią świąteczny dzień.

W dusznych kawiarniach, jak w oborach, siedzą milczący. Odczekują nowy kawałek istnienia. Mąż przegląda ilustracje. Żona gapi się na ciastka przy sąsiednim stoliku. A może na rulon serwetek? Może na łyżeczkę od kawy?

On ziewa i „dyskretnie” zasłania dłonią usta. Wtedy jej źle ukarminowane wargi skrzywia grymas, który zostaje opanowany. Połknęła swoje ziewnięcie.

Ba! Zgodne, dobrane małżeństwo.

On ziewa znowu.

Ona powtarza to samo...

Niedziela mija.

Wskazówki zegarów trawią czas systematycznie. Inaczej robią to gorejące serca. Zegarom nie śpieszy się donikąd. Przecież one nie żyją. Trwają bezdusznie. Idiotycznie.

Zegary ziewają także.

Trzysta drzwi trzasnęło w trzystu mieszczańskich mieszkaniach. Ci nie poszli do kawiarni, kin, ani nawet do cyrku. Zachmurzyły się bowiem ich rodzinne sufity.

Nie będą się bili. Nie błysnie nóż i nie wypali rewolwer. Nie będzie policji ni „szkandalu na całą dzielnicę”. Zwymyślają się tylko, skłóca, wywrzeszczą i zasną obok siebie nadąsani w małżeńskich wspólnych łóżach.

ŚWIAT IDZIE NAPRZÓD

Mamy rok 1838.

Dyliżans. Żółty dyliżans. Cztery rącze konie. Stangret w zielonej liberii i w brązowym cylindrze. Obok niego strzelec z krętą trąbką, którą wylotem opiera o kolano.

Drogę z Warszawy do Krakowa odbywa się długo. „Pocza” stale zatrzymuje się przed zajazdami. Zmienia się konie. Potem znowu trzaskanie z batów i jedziemy dalej. Czasem koło ugrzęźnie w błocie po osie, czasem znowu dyliżans toczy się wartko po brukach miasteczek.

Podróżni rozpakowują paczki z prowiantem. Jedzą. Zimne kurczęta. Jajka na twardo. Chleb z masłem. Cel podróży daleki. Konie jadą wolno. W gospodach przydrożnych jest drogo i na pewno mają nieswieże produkty.

Minęło pięćdziesiąt lat.

Rok 1888.

Dziwna lokomotywa stoi już pod parą. We wszystkich wagonach są otwarte drzwi do wszystkich przedziałów. Na peronie tłum odprowadzających. Kwiaty. Łzy. Powiewania chusteczkami.

Rozlega się pierwszy dzwonek.

Kościelne skupienie, a potem spazmatyczna ruchliwość.

— Wsiadajcie, bo będzie nieszczęście.

Szybkie pożegnania. Okrzyki. Drzwi się zatrząskują.

Drugi dzwon.

Publiczność cofa się od pociągu. Lokomotywa wydaje przenikliwy gwizd.

Odjeżdżający tłoczą się przy oknach.

Trzecie trzykrotne uderzenie dzwonu...

Pociąg szarpie nagle i rusza. Lokomotywa astmatycznie wypłukuje kłęby dymu.

Na peronie zabieliły się chusteczki pożegnania.

Tymczasem podróżni zajęli wygodne miejsca i rozpakowują paczki z prowiantem. Jedzą. Zimne kurczęta. Jajka na twardo. Chleb z masłem. Cel podróży daleki. Wszyscy zaopatrzyli się w coś na drogę. Pociąg leci prędko. Połyka kilometry jak czekoladki.

Mija pięćdziesiąt lat.

Mamy rok 1938.

Ludzie kupują bilety i zajmują miejsca w pociągu na parę chwil przed odjazdem.

Gwizdek.

Pociąg rusza bezszelestnie.

Jeszcze kilka osób wskoczyło na stopnie. Jakieś drzwi trzasnęły w biegu.

W przedziale trzeciej klasy wszystkie miejsca są zajęte, ludzie czytają gazety. Pałą. Otyła jejmość kręci się niespokojnie, wreszcie wyjmuje z walizki paczkę i rozwija ją, z przetłuszczonego papieru wyłaniają się zimne kurczęta. Jajka na twardo. Chleb z masłem. Jejmość od pierwszego kilometra zabiera się do jedzenia. Jakiś tłusty kawałek zimnego mięsa poplamiał ubranie sąsiada. Robi się awantura, na stacji zostaje spisany protokół.

Pociąg mknie dalej. Za parę godzin będzie w Krakowie.

Mija pięćdziesiąt lat.

Rok 1988.

Na lotnisku tłok. Samolot Warszawa–Kraków odchodzi za minutę i trzydzieści sekund. Podróżni zaczynają zajmować miejsca.

Samolot rusza.

Podróżni zakładają na uszy słuchawki radiowe.

Za godzinę będą w Krakowie.

Ledwie znaleźli się w powietrzu, jakiś pan sięga po paczkę, leżącą na siatce. Rozwija przetłuszczone arkusze, z których wyłaniają się zimne kurczęta, jajka na twardo, chleb z masłem.

Zabiera się do jedzenia.

Nim skończy, będzie u celu podróży, ale widać ma w sobie zakorzenioną epokę dyliżansu.

FALE ZDENERWOWANIA

Istnieją fale dotąd nieodkryte. Fale zdenerwowania. Czekają na genialnego wynalazcę, który wyjawia je światu. Jedno jest pewne: zdenerwowanie narasta. Tak: narasta! Służę przykładem.

W miły, letni dzień siadamy sobie przy telefonie. Książka telefoniczna — lektura, którą gorąco polecam melancholikom — dostarczy nam odpowiedniego materiału. Wyszukamy w niej i wypiszemy sobie na karteczce wszystkie numery telefonów, znajdujących się w jednej kamienicy, na przykład przy ulicy Koszykowej 70.

Po dokonaniu swej czynności przygotowawczej zdejmujemy słuchawkę z widełek i łączymy się kolejno z wszystkimi numerami, zadając jednakowo uprzejmym i miłym głosem jedno i to samo pytanie:

— Czy zastałem pana Kopytkiewicza?

Przy pierwszych kilku rozmowach otrzymamy grzeczną odpowiedź, że „tu żaden pan Kopytkiewicz nie mieszka”. Ale w całej kamienicy zaczynają już drgać niewidzialne fale. Przy następnych telefonach zamiast odpowiedzi otrzymamy szereg szybkich pytań: „A z jakim numerem pan chce mówić? Dlaczego pan nieuważnie się łączy?” — oraz rzucą nam radę, żebyśmy nauczyli się telefonować.

Jeśli w takim domu jest wiele mieszkań z telefonami, pod koniec tego doświadczenia ze słuchawki poleje się na nas nieprzerwany strumień obelg.

— Wypchaj się pan. Myli się wariat. Stuknij się słuchawką w czoło, a potem szukaj Kopytkiewicza.

Nie należy jednak robić podobnych doświadczeń w nocy ani wczesnym rankiem. Wtedy bowiem obraz narastania zdenerwowania staje się zbyt jaskrawy.

Nic więc dziwnego, że pan inżynier Z. zbudzony o drugiej w nocy uporczywie dzwoniącym telefonem, kiedy zdecydował się wreszcie podejść do aparatu, nie był nastrojony do pomysłów i uprzejmych wyjaśnień.

— Czy zastałem Micia Kopytkiewicza? — spytał uprzejmy głosik w słuchawce.

— Bydlę! Pomyłki w nocy wyprawia! Powieś się pan razem z Kopytkiewiczem. — Tu pan inżynier Z. mógł rzucić słuchawkę, ale skamieniał.

Odpowiedziano obelgą na obelgi. Obaj panowie zaczęli się licytować w bombardowaniu wyzwiskami. Doszło do tego, że inżynier Z. przeprosił rozmówcę na chwileczkę, przysunął sobie fotel, usiadł (bo już dłużej nie mógł stać) i kłótnia zamieniła się w długotrwałą wojnę. Po godzinie obaj panowie wyczerpani duchowo i fizycznie już ochryplym szeptem wymienili swoje adresy i nazwiska i nazajutrz podali się wzajemnie do sądu.

PREZENTY

W tę sobotę mieliśmy Marii. W kwaciarniach i w sklepach z czekoladkami panował ruch większy niż zwykle.

Wiadomo: prezenty.

Ponieważ prawie wszyscy robią prezenty swoim bliskim, chciałem tu ostrzec was po przyjacielsku, moi mili państwo, bo czasem przez prezenty dzieją się rzeczy straszne, od których włosy stają na głowie.

Katastrofa po prostu.

Tak było ze mną.

Mam spokojnego, sympatycznego przyjaciela Janusza, któremu pewnego roku postanowiłem ofiarować jakiś prezent na imieniny.

Kupiłem mu wieczne pióro.

Janusz zdziwił się bardzo. Mile zaskoczony, podziękował mi, a w jego duszy wykwitła niewinna myśl, żeby przy najbliższej okazji odwzajemnić się z nawiązką.

I rzeczywiście. Na Boże Narodzenie otrzymałem od niego srebrną papierośnicę.

Rozczulony darem, wycalowałem go serdecznie i poprzysiągłem sobie, że okażę się godnym takiego przyjaciela i przy najbliższej sposobności zrewanżuję mu się z naddatkiem. Pragnienie to, kiedy nadeszła okazja, wzrosło do rozmiarów pięknego kryształowego wazonu...

Nie był drogi. Kupowałem go jednak już bez zbyteńnego uśmiechu.

Janusz zachwycił się prezentem, ustawił go sobie na fortepianie i na najbliższe moje imieniny ofiarował mi serwis z saskiej porcelany...

Zrazu niewinna forma zaczęła obecnie przybierać groźne kontury. W moim kredensie stoi wspaniały serwis, w kieszeni mam śliczną papierośnicę, przyjaciel tymczasem otrzymał ode mnie jedynie wieczne pióro, które na pewno już dawno zgubił, i ów wazon, rzecz kruchą i przez kuchty do sprzątania chętnie parcelowaną.

Czuję się więc, czatuję po prostu na najbliższą okazję. O! Nie okażę się niewdzięcznikiem... O! nie dam się zdystansować... Odkładam codziennie... Drobne sumy... Przez rok... Wreszcie kupuję mu na urodziny prezent wspaniały:

Obraz Fałata¹⁷.

Janusz po rozpakowaniu przesyłki blednie... Niby dziękuje, ale w gruncie rzeczy nienawidzi mnie, bo musi teraz oszczędzać, żeby się pokazać... Mijają dni... Nadarza się wreszcie okazja... Otrzymuję od niego samochód...

Czuję się zrujnowanym, ale nie daję za wygraną i żyję tylko jedną myślą:

— Zemścić się na nim!

Toteż nic dziwnego, że w dzień imienin Janusza zjawiają się u niego w przedpokoju jacyś ludzie o wyglądzie wilków morskich i meldują, że prezent stoi na podwórzu...

Poblądły Janusz wychodzi, patrzy, przeciera oczy:

Tak. Jacht motorowy z całym urządzeniem. Wielki, na pół podwórka...

Wtedy on we mnie parostatkiem, a ja mu na to kupuję pałac...

Wreszcie obaj nie mamy pieniędzy, jesteśmy zrujnowani, nie znosimy się, zaczynamy ukradkiem sprzedawać nasze prezenty za psie pieniądze.

Czy nie lepiej wcale nie dawać sobie prezentów?

...Można wtedy pozostać przyjaciółmi...

STRASZNY ZŁODZIEJ

Nie wiedziałem, jak postąpić z owym moim znajomym. Nie wiadomo nawet, gdzie go poznałem. Jedno tylko między nami powtarzało się niezmiennie. Kiedykolwiek mnie spotykał, podchodził i witał się z oznakami wielkiej uprzejmości.

— Co słyhać u pana?

Teraz, nie czekając na odpowiedź, zwykł rzucać drugie pytanie:

— W którą stronę mistrz idzie?

— W tamtą — pokazywałem, sądząc, że mu nie będzie odpowiadać, ponieważ właśnie stamtąd nadszedł.

— A ja w przeciwną.

— To bardzo szkoda.

— Niech pan się nie martwi. Mam nieco czasu i odprowadzę pana.

Chcąc nie chcąc, musiałem iść w lekkomyślnie wskazanym kierunku, przeklinając z cicha. Przecież wystarczy dać facetowi w mordę, a na pewno da mi spokój na najbliższe kilka tygodni.

— Co pan pisze teraz?

— Takie tam różne...

— Często bywa pan w teatrze? Ja bowiem przekładałem kino nad wszystko. Czasem robię wyjątek dla cyrku.

— To ciekawe. — Ocieram pot z czoła.

Skręcam w czwartą ulicę, nie wiem, dokąd dążę. Idziemy jak przyjaciele.

Wreszcie wchodzę do jakiejś bramy, szczęśliwie pożegnawszy natręta, długo czekam na schodach, wychodzę z powrotem z niedowierzaniem. Czasem mam szczęście i nie napataczam się na niego na najbliższej ulicy.

Nazajutrz spotykam go znowu:

— Co słyhać u pana? Wczoraj tak miło się rozmawiało. W którą stronę pan idzie?

— A ja do tego domu naprzeciwno — odrzucam bez zająknięcia.

— Na długo?

— Nie. W każdym razie jednak zabawię z pół godziny.

¹⁷Fałat, Julian (1853–1929) — jeden z najwybitniejszych polskich akwarelistów; wśród jego obrazów dominują sceny myśliwskie, dzikie zwierzęta i pejzaże. [przypis edytorski]

— Zaczekam na pana.

Zrezygnowany udaję się do owej bramy, choć nie mieszka w niej żadna z moich pałających spraw. Wchodzę na schody i czekam z tą świadomością, że po wyjściu natknę się na ugrzecznoniego natręta. Minuty snują się wolno. Po upiornym kwadransie wychodzę siwiuteńki i złamany.

— No, pośpieszył się pan. Trwało zaledwie chwilę. Teraz sobie pogadamy.

— Niestety, muszę zejść jeszcze do tego domu — pokazuję na najbliższą kamienicę.

— Czy do Pitulińskich? Oni tu mieszkają.

— Tak — mówię na odczepnego — do Pitulińskich. Ale posiedzę u nich z godzinę.

— Nie będę czekał — mówi z entuzjazmem (z trudem powstrzymuję się od westchnienia ulgi). — Nie będę czekał, bo to moi świetni znajomi. Wstąpimy razem.

Ogarnia mnie przerażenie. Przecież ich wcale nie znam. Co to będzie? Wyrzuca! Kompromitacja.

Jesteśmy tuż koło bramy. Z opresji ratuje mnie przechodzący policjant.

— Niech pan aresztuje tego pana — wołam doń, wskazując na mego towarzysza. — Ten pan mnie okrada. Systematycznie. Codziennie.

— Zabiera panu pieniądze?

— Nie. Zabiera mi czas.

TRAMWAJ-WIDMO

Dziwny to był tramwaj. Tramwaj-widmo. Do siódmej wieczorem wąsaty i miły anioł pojazdu, pan konduktor Adam Graal, pełnił dość monotonnie swoje posłannictwo i poziewając, rozmyślał, że nudno, smutno i nic się właściwie nie dzieje.

Ale zgodnie z tym, co mówiły gwiazdy na dzień dzisiejszy, parę minut po siódmej zaczęło narastać zdenerwowanie. Jakieś niewidzialne fale zawładnęły jadącym spokojnie tramwajem. Zaczęło się od drobnego faktu. Po prostu nie było miejsca, a na przystanku wsiadła starsza pani. Starsza pani rozglądała się teraz z oburzeniem, akcentując, że doskonale widzi, iż żaden z mężczyzn na nią nie patrzy, żeby czasem nie być zmuszonym do ustąpienia swego miejsca.

Starsza pani wydeła wzgardliwie swe jaskrawo pomalowane wargi i potrząsnęła parokrotnie pękiem włosów świeżo utlenionych i tak płowych, że można było od nich zapalić papierosa.

Aby zawstydzić pasażerów, jedna z młodych pań ustąpiła jej miejsca.

Starsza pani, pełna sztucznych wdzięków i wrodzonych pretensyj, usiadła z ulgą, lecz zamiast podziękować, wyraziła się głośno:

— Phi... Lubię, jak pod pozorem grzeczności chce się uchodzić za młodszą.

— To dlaczego przyjęła pani moją grzeczność? Mogła pani raczej nie siadać...

— Ale chciałam nauczyć panią prawdziwego... wychowania.

Potem już były inne sprawy. Jeszcze drobne, ale już pan Adam Graal wiedział doskonale, że zdenerwowanie narasta i niebawem zdarzy się jakaś dobra historyjka z protokołem i zatrzymaniem tramwaju.

Ktoś zapalił (w pierwszym wagonie), ktoś chciał mu wkręcić fałszywą złotówkę i oto do tramwaju wsiadł pan w meloniku z pieskiem i z mandoliną.

— Proszę dla mnie i dla pieska po bilecie, a mandolina za darmo.

— Nie dam panu biletu, bo pies zanieczyszcza...

— Ale nie tramwaj, tylko mandolinę. Pies, panie, to nie człowiek. Rozumu nie ma, a jeśli przecieka, to nie jego wina. „Titanic”, panie, też przeciekał, a cóż dopiero taki mały kondel¹⁸.

Ponieważ klient nie chciał opuścić tramwaju, pomimo protestów konduktora i publiczności, która zaczęła otwierać parasole, wezwano posterunkowego. Sąd grodzki skazał właściciela psa i mandoliny, pana Euzebiusza Kalkę na 20 złotych grzywny.

CZYŻYK FRUWAŁ W AUTOBUSIE

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

¹⁸kondel (gw.) — kundel. [przypis edytorski]

— Nie.

— Jak więc wygląda sprawa w autobusie? Oskarżono pana o to, że pan zdarł parasolem dwóm paniom kapelusze z głowy, wszedł na melonik jednego z pasażerów, po czym uderzył trzykrotnie w twarz powoda.

— Nie. Nie przyznaję się do żadnej winy. Wszystko jest względne. Mój znajomy odbył egzotyczną podróż do Liberii. Kiedy zapytał, co jest najciekawszego do obejrzenia, powiedziano mu, że miejscowy ogród zoologiczny. Udał się więc tam natychmiast, proszę wysokiego sądu. Rzeczywiście: frekwencja szalona. Tłumy murzynów przy kasach, tłumy na ścieżkach ogrodu, tłumy przed klatkami. Z trudem się docisnął. I co zobaczył?

W klatkach budzących podziw i głośnie pomruki niedowierzania autochtonów¹⁹ znajdowały się trzy kury, kogut, krowa, a największą sensacją budził zwykły zając europejski. Był oburzony.

— Dlaczego nie trzymacie hipopotamów, krokodyli, papug? — pytał ze zdziwieniem.

— A po co? Przecież to każdy z nas spotyka co kroku.

Podobnie było ze mną. Kapelusze zdarłem. W mordę dałem trzy razy, ale wszystko jest względne.

Proszę wysokiego sądu. Wchodzę do autobusu. Naprzeciwko mnie siada pan z dwiema paczkami i czyżykiem w klatce i zwraca się do mnie jak najuprzejmiej, żebym je potrzymał, bo on nie może wyjąć z kieszeni portmonetki. Jestem uczynny. Wziąłem paczki. Klatkę. Oglądam ptaszka. Czyżyk.

Tymczasem ten pan dawno wyjął portmonetkę, zdążył nawet kupić bilet, a nie kwapił się z odebraniem paczki, tylko jeszcze gazetę z kieszeni wydobył i zabiera się do czytania depesz.

— Pardon — powiadam — pan zapomniał, że ja pańskie paczki trzymam.

— Nie zapomniałem — mówi — tylko interesuję się sytuacją na Dalekim Wschodzie. Pozwoli pan, że doczytam i zaraz odbiorę.

— Niestety — mówię uprzejmie — uważam to za bezczelność z pańskiej strony. Proszę wziąć paczki.

— Jest pan źle wychowany — powiada mi na to, a mnie już wtedy poniosło i trzask mu paczkami i klatką w gazetę.

Widocznie ptaszek nie był starannie zamknięty, bo zaraz frrrrr... i fruwa po autobusie.

Pasażerowie zaczęli go łowić w meloniki i w parasole, ale ptaszek o szyby się tłucze i nikt go złapać nie może. Mnie tymczasem przykro się zrobiło, że tak porywczo postąpiłem. Zacząłem gonić ptaszka i rzeczywiście dwa kapelusze zrzuciłem, wszedłem na czyjś już uprzednio zgubiony melonik, po czym zamachnąłem się, żeby złowić ptaszka w dłoń i trafiłem w twarz tego pana.

— Trzy razy.

— Liczba się zgadza, ale nie chciałem go spoliczkować.

Sąd nie dał wiary temu oświadczeniu i skazał pozwanego na 50 zł grzywny. Po dwadzieścia pięć za policzek, licząc trzecie uderzenie za darmo, bo to już mogło być tylko przyzwyczajenie...

MARZENIA

Kto z nas nie oddawał się marzeniom?

Pod zamkniętymi powiekami słodki snuje się film fantazji. Małe dziecko śni o dowodzeniu armią ołowianych żołnierzyków, brzydka kobieta marzy o gwiazdach, motylach i miłości, starzec spała się w pocałunkach. Ale chwileczkę. Mam wrażenie, że i marzenie można posegregować, poszufladkować i podzielić na kartoteki. Według wieku marzącego.

Jako pięcioletni chłopiec marzyłem w ten sposób:

Cesarz (w najgorszym razie król) jedzie na rowerze po pustej szosie. Nagle rower się łamie i cesarz siada w rowie. Jest bezbronny. Płacze. Ja idę ścieżyną. Spostrzegam cesarza. Nie daję mu poznać, że go rozpoznałem. Podchodzę. Reperuję rower. Cesarz wsiada i jedzie ze śmiechem.

Wracam do domu, a tu już w moim białym, dzieciennym pokoiku stoi trzech generałów z długimi brodami i każdy z nich trzyma kosz zabawek.

¹⁹ *autochton* — rdzenny mieszkaniec danego terenu. [przypis edytorski]

— To od króla.

Jako dziesięcioletni chłopiec marzyłem już inaczej:

Idę z flowerem²⁰ podczas wojny i poluję na wróble. Nasza kawaleria szarżuje na tanki²¹ nieprzyjacielskie. Kim jest nieprzyjaciel, marzenie nie ustala. Szarżuje i nic nie może zrobić tym żelaznym bestiom. Ja tymczasem wchodzę na najwyższe drzewo i strzelam z floweru. Małe flowerowe kulki przedostają się przez szczeliny obserwacyjne w czołgach i wybijają obsługę. Wszystkie tanki są unieruchomione. Dowódca naszej kawalerii częstuje mnie czekoladą i prowadzi do naczelnego wodza, który wręcza mi szablę, motocykl i order. Jestem szczęśliwy.

Kiedy miałem piętnaście lat, moje marzenia przybrały czysto prywatny charakter. Dużo w nich było karminowych warg, błękitnych spojrzeń, spotkań przy strumieniach, a wszystkie te obrazy wiązały się z sylwetką pewnej pensjonarki, którą spotykałem codziennie, idąc do szkoły. Naturalnie chodziło o to, żeby ją tramwaj przejechał. Nadjeżdża tramwaj, już, już będzie miał ją pochłonać, a wtedy ja się rzucę, wyciągnę ją spod kół i wtedy... Ba! Wtedy!

Jako dwudziestoletni młodzieniec, proszę wysokiego sądu, marzyłem o karierze sportowej.

Są mistrzostwa. Tłumy na trybunach. Mnie nikt nie zna. Z trudem dopuszczono mnie do zawodów. Nagle zaczynają się skoki wzwyż. Skaczę wraz z innymi. Sędziowie stale podwyższają poprzeczkę. Inni już poodpadali. Został tylko mistrz Polski i ja. Wysokość metr dziewięćdziesiąt. On nie może. Ja skaczę lekko. Każę od razu nastawić na dwa metry. Skaczę. Każę na dwa dziesięć. Skaczę z łatwością. Przy trzech metrach publiczność zbiega z trybun. A ja nic, tylko skaczę. Przy czterech metrach zostaję aresztowany. Wszyscy myślą, że to jakieś przestępstwo, a ja tymczasem z łatwością przeskakuję przez kamienicę, obrażam się i ginę. Chcą mnie wysłać na mistrzostwa świata, szukają, nie dają znaku życia. I tak pozostałem fenomenem natury.

Kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, to marzenia moje znów, proszę wysokiego sądu, wyglądały inaczej:

Oto pewnego dnia wybitny dygnitarz państwowy jedzie na rowerze po pustej szosie. Nagle rower się psuje i dygnitarz siada w rowie. Nadchodzę. Reperuję mu rower. Wracam do domu, a w domu zastaję papierek, który przyniesiono z urzędu, a na tym papierku czarno na białym, że nikt nie ma prawa mnie aresztować.

Natomiast o tym, żebym ukradł rower, doprawdy nigdy nie marzyłem.

Sąd skazał gadatliwego marzyciela na miesiąc aresztu za kradzież roweru.

DOBRE WYCHOWANIE

Rzecz się dzieje w knajpie. Dwaj wytworni panowie zrzucili palta na ziemię w okolicach szatni i zatoczyli się do wolnego stolika. Niestety, nie mogą notować ich początkowych rozmów, bo o ile były głośne i trafne, o tyle były nieprzyzwoite, tak że dokoła świeżo zajętego stolika stopniała publiczność i białe koło pustych obrusów odgraniczyło kręgiem milczenia naszych dwóch wytwornych panów od reszty gości. Wreszcie dyskusja przeszła na wspomnienia z wojny światowej.

— Mój drogi, Rosjanie musieli przegrać, wszak Niemcy strzelali z armat naturalnej wielkości...

— Tego szczegółu nie znałem... No to napijemy się... Panie kelner, dwie czyste, albo nie: trzy! Pan przecie napije się z nami także. Może pan co przekąsi?

— Niestety... tego... dyrekcja zabrania kelnerom pijać z gośćmi...

— Ależ inaczej nie może być. My tu siedzimy i rozmawiamy, a pan, taki miły człowiek, stoi lub biega z daniami. Proszę zawołać dyrektora. Zaraz się rozmówimy.

Dyrektor sali zgodził się, ponieważ nasi przyjaciele przyjęli zdecydowaną postawę. Kelner usiadł na brzeżku krzesła i przyłączył się do rozmowy.

— Hallo, kelner, jeszcze butelkę... I nowy kieliszek. Pański kolega pije z nami, to i pan napije się także.

²⁰flower — karabinek małokalibrowy na tzw. naboje Floberta, przeznaczony do ćwiczeń i polowań na drobne ptaństwo. [przypis edytorski]

²¹tank (daw.) — czołg. [przypis edytorski]

— Niestety — odparł nowy kelner. — Dyrekcja zabrania.
— Ależ inaczej nie może być. My tu siedzimy i rozmawiamy, a pan, taki miły człowiek, stoi lub nam służy. Niech pan siada. Może pan coś przekąsi?
Dyrektor sali wobec groźnej postawy, jaką przyjęli nasi przyjaciele, zgodził się, aby i drugi kelner usiadł przy stoliku.
— Hallo! Kelner! Kto tu podaje!!!?? — wołali teraz czterej już panowie.
— Słucham?
— Niech pan poda zaraz jeszcze jedną butelkę wódki i jeszcze jeden kieliszek. Pańscy koledzy piją — to i pan napije się z nami...
— Niestety — odparł kelner, podając nową butelkę wódki i stawiając na stole czwarty kieliszek. — Dyrekcja zabrania.
Powiedział to bez przekonania i przyłączył się do towarzystwa.
Ponieważ nie było więcej kelnerów na sali, dyrektor sam zaczął im służyć.
— Przynieś pan butlę jakiego wina. Tylko zaraz — wołali doń kelnerzy.
Kierownik sali fruwał, aż poły fraka rozskrzydlały się z szumem.
— Niech pan siada z nami. Wszystko jedno. Jutro znowu będzie świt. My tu pijemy, a pan się męczy. Może pan coś przekąsi.
Było już późno. Knajpa dopływała na wybrzeża świtu. Goście zaczęli opuszczać stoliki i wychodzić bez płacenia. Tylko towarzystwo otaczające naszych dwóch wytwornych panów bawi się jeszcze z siłą 120 HP²². Na stole wspaniałe dania. W kubłach z lodem zmieniają się butelki szampana. Obsługują teraz nasi przyjaciele. Dyrektor i kelnerzy piją i jedzą, bawiąc się wytworną rozmową.
— Czas już do domu — odezwał się jeden z podających panów.
— Więc płacicie nam rachunek i chodźmy stąd wreszcie — dodał drugi, beczelnie zwracając się do dyrektora sali i kelnerów rozpartych przy ich stoliku.
W związku z tą propozycją, której nie dało się wybić z głowy naszym wytwornym przyjaciółom nawet przygodnymi parasolami, znacznie później i już na trzeźwo odbyła się rozprawa sądowa. Sąd grodzki skazał panów Zygmunta Oleszczaka i Adama Kadłubka na dwa tygodnie aresztu za niezapłacenie rachunku w barze Pod Kometą.

SZRAMA

Nie żeby pan Zygmunt był pijakiem, wszyscy właściwie u nas piją, tylko że on czynił to bez żadnego opamiętania. Niby człowiek na stanowisku, a bez opamiętania czynił. Upił się — bywało — na jakimś dancingu i — dopiero! A tymczasem pić trzeba rozważnie i nazajutrz jedno z drugim zapamiętać, do kupy złożyć, żeby jakiś obraz minionej nocy pozostał, a nie tak, że już nic a nic nie wiadomo. To ważne. A tymczasem pan Zygmunt co do domu przyjdzie i nazajutrz stanie przed lustrem — patrzy, widzi: szrama na policzku.

Nie wychodzi więc przez cały dzień, żeby szrama się zgoiła. Nazajutrz patrzy w lustro: jest szrama, mniej czerwona, ale zawsze, nie można powiedzieć, widoczna. Czeka drugi dzień — szrama. Aż do samego wygojenia się szramy doczekać nie może. Po południu wychodzi. Niby na spacer. A na spacerze znajomych się spotyka. A ze znajomymi — na wódkę.

Po paru dniach pan Zygmunt do domu wraca, spać się kładzie, nazajutrz staje przed lustrem — patrzy — szrama! Próbuje sobie przypomnieć, skąd się wzięła, zamyślił się, we wczorajsze zapatrzył. Nic przypomnieć sobie nie może. A szrama prawie na tym samym miejscu.

Czeka dzień, czeka dwa — owszem: zbladła. Na trzeci dzień jeszcze jest, choć mało widoczna. Wychodzi na spacer. Po kilku dniach wraca pijaniusięki. Patrzy. Szrama.

Niby nic. Taka czerwona kreska na policzku, a życie może obrzydzić i to człowiekowi na stanowisku.

Aż go rozłościło to wszystko. Zatelefonował do przyjaciela i powiada:

— Zapraszam cię na wódkę, ale chodź ze mną krok w krok, bo mnie po pijanemu szrama się robi.

— A od czego?

²²HP — skrót od ang. *horse power*, oznaczający konia parowego, dawną jednostkę mocy, używaną w celu porównywania mocy maszyn parowych z mocą konia pociągowego. [przypis edytorski]

— Właśnie nie wiem od czego i to mnie najbardziej denerwuje.
— Dobrze, żeś do mnie się zwrócił — odpowiedział przyjaciel — bo ja mam mocną głowę i wszystko będzie wiadome.

Pan Zygmunt spotkał się z przyjacielem i poszli na miasto.

Z początku wszystko szło dobrze. Z lokalu do lokalu jeździli, wreszcie po trzech dniach pan Zygmunt do domu przyjechał. Budzi się nazajutrz, pierwsza rzecz — do lustra! A w lustrze szrama!

Więc do telefonu:

— No gadaj, gdzie ja się tej szramy nabawiłem?

— Nie wiem. Wszystko było spokojnie.

— A skąd szrama?

— Sam nie pamiętam. Ale muszę ci się zwierzyć, że od dwóch dni całe miasto o czym innym nie mówi, tylko o tym, że ty po mordzie dostałeś.

— Gdzie?

— Nie wiadomo. Jedni mówią, że na poczcie, a inni, że w zoo. Pewnie zresztą sam rozapałem.

Tym razem pan Zygmunt bardzo się zmartwił. Człowiek na stanowisku i takie rzeczy.

Przez cały dzień nie wychodził — na czerwoności straciła. Przez następny dzień martwił się w samotności — przybladła wyraźnie.

Trzeciego dnia nie wytrzymał i pojechał do filmowego biura i wynajął Żydka z taśmą i aparatem.

— Będzie pan za mną chodził i przez całą noc filmował wszystkie moje uczynki. Po tym wywołamy taśmę i będę miał film z tego, co ja po nocach wyprawiam.

No i poszli.

Nazajutrz obudził się na posadzce, a na jego tapczanie leżał goły operator, owinięty w taśmę filmową jak w zwoje serpentyn. Okropnie ich głowy bolały. A szrama? Była.

Założyli więc nową taśmę i znowu poszli po kilku dniach na nocną wyprawę. Tym razem powiodło się znakomicie. Szrama co prawda była, ale operator zapewnił, że cała noc będzie na niej uwidoczniła.

Pan Zygmunt w fotelu zasiadł. Obrus na ścianie rozwieszono i operator wyświetlał.

Owszem, sceny jedna po drugiej na srebrnym ekranie się widać, ale bijatyki żadnej. Spokojnie wszystko się działo i tak nudno, że aż dziw, że tak długo mogli wytrzymać na tej zabawie.

Nic, tylko wejda do knajpy, palta zdejmą, przy stoliku siada i piją. Zapłacą, włożą palta, do samochodu wsiadają i jadą do innej knajpy. A w innej knajpie to samo. I tak w kółeczko.

— No a szrama skąd się wzięła?

Nie wiadomo.

— A zawsze pan do domu wraca z taką szramą?

— Od dawna. Z piętnaście lat.

— A co pan robił piętnaście lat temu?

— Na froncie byłem. Raniono mnie nawet — szablą w policzek.

— No to może jest ta sama szrama.

— Sądzi pan? W takim razie nie byłoby czego się wstydzić!

PROROCZY SEN

Nawet spokojnej nocy człowiek nie ma. Pożegnasz się na parę godzin ze światem i myślisz, że spać będziesz do rana. A w rzeczywistości zaczynasz drugie życie, ledwie zamkniesz oczy.

Gonia cię lwy po pustyni, potem wyskakujesz z okna na czterdziestym drugim piętrze, bo w międzyczasie znalazłeś się w Nowym Jorku, a za chwilę tańczysz na balu z Gretą Garbo²³, która kocha się w tobie, ale zamienia się w papugę i odfręwa.

Różne rzeczy snią się ubogim ludziom. Bogactwa, zaszczyty, szacunek. Nawet ananasy. Potem budzisz się zmęczony i walisz do pracy, żeby trochę odpocząć przed następnym snem.

²³ Garbo, Greta, właśc. Greta Lovisa Gustafsson (1905–1990) — szwedz. aktorka filmowa, jedna z największych gwiazd kina lat 20. i 30. XX w. [przypis edytorski]

Bywają też sny złośliwe, co mącą bieg twego życia. Bo wiadomo: strażak się śni — pożaru nie będzie. Strażak się nie śni — pożar może być. Kwiaty ujrane we śnie śmierć oznaczają. A jeśli wyśnią ci się pieniądze, to znaczy, że długów nie płacisz, bo jeśli płacisz dług, to już nawet śnić o pieniądzach nie możesz.

Najgorzej jednak dzieje się z tobą, kiedy opanuje cię sen, który się powtarza, a już czarna rozpacz cię ogarnia, gdy sen jest ciągły i w kręgu pewnych spraw snuje się niby powieść czytana w odcinku. Budnik²⁴ budzi cię zawsze w najciekawszym miejscu. Podczas obiadu i pracy myślisz tylko o tym, jaki będzie dalszy ciąg, który nastąpi we śnie.

Wszystko to jednak są dziecinne igraszki wobec faktu, jaki przytrafił się zacnej pani Stefanii Pikmańskiej. Nabożna, pięćdziesięcioletnia ta panienska mogła szczyć się życiem cnotliwym, a uduchowionym. Ale od kilku miesięcy zaczął nawiedzać ją sen. „Sen o szpadzie”. Śniło jej się — moja pani — że nocą mężczyzna do niej przychodzi i zdróżne rzeczy z nią wyprawia. Niech złośliwi nie twierdzą, że flirtowała przez sen z rzeczywistym mężem zaufania czyjejś żony. Nie. Po prostu we śnie faceta jej przedstawili i odtąd co noc jej się śnił. Pani Stefania Pikmańska rozpiła się z rozpachy, ale ów sen z mężczyzną powracał stale i był widmem jej wezgłowa.

A pewnego razu spotkała go w biały dzień na Mazowieckiej. Szedł sobie facet z krwi i kości, kropla w kroplę podobny do owej sennej zmory. Rzuciła się ku niemu. Zaczął uciekać. Dogoniła. Nie biła młodzieńca i nie wymyślała. Przeciwnie. Zarzucała mu ręce na szyję i całować zaczęła. Całować!

— Mój ty wyśniony! — szeptała, dysząc wódką i szczęściem.

A napadnięty nic o śnie nie wiedział, więc wyrwał się z uścisków staruszki i do policjanta podszedł.

Sąd grodzki skazał panią Stefanię Pikmańską na 50 zł grzywny. Sen o szczęściu potarza jej się jeszcze do dzisiaj, no i dama coraz więcej wódki pije...

ROGACZ WSPANIAŁY

Łatwo jest urobić o sobie każdą opinię, trzeba tylko stać się jej niewolnikiem. Pan Alfons Szczeciecki uchodził wśród swoich znajomych za człowieka bardzo bogatego. Dodawano jednak, iż jest nieszkodliwym dziwakiem. Dlaczego bowiem człowiek o takich możliwościach finansowych mieszka w zakurzonej i dusznej przedmiejskiej dzielnicy, na ohydnej, rozjątrzonej uliczce. Czemu nigdy nie wyjedzie z Warszawy?

Wreszcie uznano, że po prostu musi być skąpcem i zaczęto odsuwać się od niego. Przecież poza dobrymi radami w inny sposób nie pomagał nikomu.

Pan Alfons Szczeciecki był bardzo zmartwiony, że znajomi nie lgną do niego i przestają z nim coraz niechętniej. Od tylu lat pracował przecież tylko nad tym, żeby uchodzić za osobistość, na przyjaźni z którą każdemu musi zależeć. Starannie ukrył swój lichy zawód inkasenta w drobnej firmie drzewnej. Wmówił we wszystkich, że żyje z okazałej renty. Ilekroć miał przy sobie pieniądze firmy, udawał się do jakiegoś banku, zmieniał je na pięćsetki, po czym za pół czarnej płacił w kawiarni grubym banknotem, twierdząc, że nie ma drobnych.

Ze znajomymi prowadzi tylko rozmowy o podłożu finansowym.

— Świetnie, że pana spotykam, czy nie mógłby pan udzielić mi informacji, które z towarzystw naftowych dobrze obecnie stoi, bo chciałbym i w tej gałęzi umieścić nieco kapitałów? Dzisiaj są takie czasy, że człowiek posiadający, a niemający ani zamilowania, ani zdolności do operacji finansowych, musi się asekurować na wszystkich frontach.

— Wie pan, że także nie znam się na tym i co gorsza nie potrzebuję się znać, z powodu, który Napoleonowi na pewno wystarczyłby w zupełności²⁵. Po prostu nie mam pieniędzy. Żona chora. Dziecko wyrzucone ze szkoły, bo wpisu nie mogłem opłacić. Właściwie także się cieszę, że pana spotykam. Właśnie wybierałem się. Chciałem prosić o pożyczkę. Jakies kilkaset złotych.

²⁴budnik (daw.) — budzik. [przypis edytorski]

²⁵z powodu, który Napoleonowi na pewno wystarczyłby w zupełności — nawiązanie do anegdoty o cesarzu Napoleonie Bonaparte. Zapytał on burmistrza pewnego miasteczka, dlaczego przy wjeździe nie został powitany salutem armatnim. Burmistrz odpowiedział: „Powodów jest kilka. Po pierwsze, sir, nie mamy armat...”. Napoleon przerwał: „Dziękuję, to mi zupełnie wystarczy”. [przypis edytorski]

W takim wypadku pan Alfons, który zarabiał dwieście złotych miesięcznie, odpowiadał zwykle, że musi wpłacić kilka tysięcy na podatki i bardzo żałuje, ale nie może służyć.

W ten sposób fabrykował sobie wroga za wrogiem i cieszył się, że coraz bardziej jest szanowany.

Pewnego dnia, idąc z jedną panną, został zaczepiony przez sprzedawcę fiołków i starym zwyczajem, żeby zaimponować swej towarzyszce, wyjął pięćsetkę i zażądał reszty.

Sprzedawca wziął pieniądze i uciekł.

Pan Alfons Szczeciecki został oskarżony przez swoją firmę o defraudację i skazany na sześć miesięcy więzienia.

Dopiero z prasy znajomi milionera dowiedzieli się, że jest on... byłym inkasentem.

DŁUŻSZA WIZYTYTA

Pan Srebrnicki zaprosił do siebie Adolfa Zakliczko. Nie widzieli się od kilku lat i tak się jakoś złożyło, że nie wypadło go nie zaprosić.

Pan Zakliczko przyszedł punktualnie o pierwszej. Był ubrany w ciemne ubranie i sprawiał bardzo przyzwoite wrażenie. Gospodarza zdziwiło jedynie, że wytworny gość zostawił w przedpokoju jakąś nieforemną i monstrualnie wielką paczkę.

— Co u państwa słychać? — rozpoczął inteligentnie rozmowę, po czym zaczął narzekać na „czasy” i tak w miłym nastroju słów, pluskających się w pustce, upłynęło dwadzieścia minut. Potem jeszcze dwadzieścia. Gospodarze porozumieli się spojrzeniami. Minęło dalsze dwadzieścia minut. Pani domu zaczęła dawać mężowi rozpaczliwe znaki. O tej porze jadali zwykle obiad. Toteż państwo przestali podtrzymywać rozmowę. Podarła się jak na wietrze. Teraz z usypiającego salonu dolatywał jedynie monolog pana Zakliczki. Następane dwadzieścia minut przeszło do przeszłości.

— Może pan zostanie u nas na obiedzie?

Został. Nie chciał krępować, ale tak miło się rozmawiało.

Obiad minął pośród grobowego milczenia.

Przy kawie gość ożywił się nagle. Zażądał papierosów i rozpoczął swoje monologi:

— Bo proszę państwa... — i nikt już dalej nie słuchał.

Minęło dalsze dwadzieścia minut. Pan Srebrnicki, nudną rozmową przykuty do stołu jak do galery, zrozumiał, że obecność gościa przedłuży się w nieskończoność. Wstał więc od stołu i zdecydował się powiedzieć:

— My z żoną zwykle sypiamy po obiedzie. Zechce więc pan wybaczyc...

— Ale naturalnie — przerwał Zakliczko — spodziewałem się tego i nie chcąc stanąć przeszkody w zwykłym trybie życia państwa, przyniosłem z sobą piżamę. Jest w przedpokoju.

Pan Srebrnicki osłupiał. Miły gość tymczasem wybiegł do przedpokoju:

— W salonie jest świetna kanapka, niech państwo sobie nie przeszkadzają. Prześpij się na niej z rozkoszą...

Państwo Srebrniccy udali się do sypialnego pokoju. Po kilku godzinach spotkali się z gościem w stołowym. Był wypoczęty i jadł podwieczorek.

— Jak państwo spali? U nas na wsi mawiało się: „Po obiedzie prześpij chwilkę, po kolacji przejdź się milkę”...

— Drogie panie, właśnie rozmawialiśmy z żoną, że pan prawdopodobnie nudzi się u nas. Sądziliśmy, że dobrze byłoby, gdybyśmy razem poszli do kina. Szczególnie, że już jesteśmy umówieni ze znajomymi...

— Właściwie to nie mam ochoty, chętnie poczekam na państwa w waszym domu. Tu jest bardzo przyjemnie.

Państwo Srebrniccy raz jeszcze spojrzeli po sobie znacząco. Nie było innej rady. Poszli. Uciekli. Kiedy zamykali drzwi frontowe, można było usłyszeć oddalony okrzyk pani domu:

— A... to!

Jaka była radość owych męczenników gościnności, gdy po powrocie do domu nie zastali pana Zakliczki. To szczęście wydało im się tak wielkie, że podejrzewali jakieś ukryte nieszczęście. I słusznie. Po dokładnej lustracji mieszkania okazało się, że razem z Zakliczką zginęła złota broszka z brylancikiem.

Sąd grodzki skazał Adolfa Zakliczkę na sześć miesięcy więzienia.

PRZYJACIEL Z KAWIARNI

Znajomość kawiarniana. Pan Stefan Rańcza siadywał zawsze przy pierwszym stoliku pod oknem. Pił pół czarnej i czytał pisma. Kelnerzy uważali, że jest autorytetem w sprawach politycznych.

Naprzeciwko pana Stefana Rańczy, to znaczy przy drugim stoliku pod oknem, od wielu lat siadywał brodaty szachista. Zamawiał herbatę bez cytryny oraz szachy i grywał sam z sobą jedną partię. Wynik był przeważnie nierozstrzygnięty.

Obaj panowie znali się doskonale z widzenia, toteż nic dziwnego, że po kilku latach przemówili do siebie, poznali się i odtąd zawsze wychodzili razem z kawiarni. Pan Rańcza przyzwyczaił się czytać pisma tak długo, aż towarzysz przy sąsiednim stoliku ukończy swoją codzienną partyjkę szachów.

Pewnego dnia na spacerze sędziwy szachista w dziwny sposób odezwał się do pana Rańczy.

— Zakochałem się — powiada — na stare lata, niby na koklusz zapadłem.

— No i co? — spytał pan Rańcza, który przed trzydziestu laty miał podobne przeżycia...

— Niestety, nic. Nawet mieszkania nie mam.

— Mieszkanie mogę panu pożyczyć. Sam posiedzę w kawiarni.

Tak też się stało. Jednak na próżno nasz gościnnie staruszek oczekiwał owego dnia w kawiarni na powrót zakochanego szachisty. Nie przyszedł. Widocznie jest jeszcze w domu. Trudno. Zakochany.

Kiedy zamknięto kawiarnię, staruszek długo jeszcze błądził po mieście, pochodził bowiem sprzed wojny, szanował uczucia bliźnich. Nie chciał przeszkadzać zakochanym. Wreszcie nad ranem zdecydował się powrócić do domu i zwrócić uwagę szachiście, że już właśnie przebywa u niego dwadzieścia godzin.

Jakież było zdziwienie dobrego pana Rańczy, kiedy zauważył otwarte drzwi wejściowe. („Ach! Ci zakochani zawsze są roztrągnięni”).

Kiedy zaś wszedł do przedpokoju, ogarnęło go przerażenie. Całe mieszkanie splądrowano niemilosiernie. Co cenniejsze rzeczy zniknęły bez śladu. Bardzo lamentował pan Rańcza, lecz nic mu nie pomogło.

Nazajutrz udał się, jak zwykle, do kawiarni. Pisma nie zdołały pochłonąć jego uwagi. Spoglądał stale na drzwi. Zakochany szachista jednak nie przybył. Nazajutrz powtórzył to samo. Widocznie zmienił kawiarnię.

Dopiero po trzech tygodniach pan Rańcza, przechodząc ulicą Marszałkowską, zauważył swego przyjaciela w maleńkiej kawiarence. Siedział przy oknie i grał sam z sobą w szachy, a przy sąsiednim stoliku staruszek o głupim wyrazie twarzy trwał zanurzony w ciekawej lekturze.

Pan Rańcza oddał zakochanego szachistę w ręce policji. Ptaszek nazywa się Aleksander Łom. Sąd grodzki skazał go na rok więzienia.

POD ZŁYM ADRESEM

Znany włamywacz, notoryczny złodziej, awanturnik i pijanica Abram Bela przyszedł tego dnia nieco wcześniej do domu i zaraz położył się spać. Był zupełnie trzeźwy. Potrzebował wiele wypoczynku, bowiem nazajutrz czekał go nerwowy dzień pracy: podobno jakieś wielkie włamanie, przygotowywane od dłuższego czasu z ogromną precyzją.

Przymrużył oczy i rozmyślał nad epizodami jutrzejszego dnia. Marzył. Nagle usłyszał cichy szelest, potem trzask zatrzasku. Nieco przyciężkie stąpania zaludniły śpiący korytarz mieszkania. Teraz drzwi jego pokoju otworzyły się, ktoś wszedł.

Bela zamknął oczy. Zapalono światło. Przybysz otworzył drzwi od szafy i zaczął szperać i szukać po kieszeniach ubrań.

Bela otworzył oczy. W szafie plądrował jakiś nieszczęśliwy obszarpaniec.

— Durniu jeden! Partaczu w dżiąsło szarpany! Czy nie rozumiesz, że nawet nieboszczyk obudziłby się przy tylu hałasach, jakie tu wyczyniasz? — wybuchnął nasz doświadczony król włamywaczy.

Obszarpaniec obrócił się w jego stronę i zamarł z przerażenia. Jego małe czerwone oczka migotały, wyrażając na przemian śmiertelny lęk i wielki podziw.

— Panie Bela! Ja pana znam z widzenia, nigdy bym się nie ośmielił...

Tymczasem Bela ubrał się, wziął odpowiednie narzędzia, pogasił światła w mieszkaniu i wywlókł za rękę otumanionego i zadziwionego obdartusa. Kiedy znaleźli się na schodach, Bela zatrzasnęła drzwi od swego mieszkania i zatrzymał nowicjusza, który chciał uciekać, korzystając z ciemności.

— Patrz! Tak się robi... — Po tych słowach wyjął wytrych z kieszeni i bez żadnego szelestu otworzył drzwi swego mieszkania. Przez przedpokój przeszedł bez najmniejszego szelestu, po czym zaśwycił małą latarkę o zielonym, cichutkim świetle i wślizgnął się do swego pokoju. Z szafy wyjął kilka swoich ubrań, a potem w mgnieniu oka znalazł się na schodach.

— Rozumiesz? — spytał obdartusa.

— Tak — odparł tamten.

— No to idź teraz za drzwi i włamuj się sam jeszcze raz. Ja tymczasem położę się do łóżka. Dobra?

Ubogie indywiduum skinęło głową.

Bela położył się do łóżka, przymrużył oczy i rozmyślał nad epizodami jutrzejszego dnia. Marzył. Nagle usłyszał cichy szelest, potem trzask zatrzasunku. Nieco przyciężkie stąpania zaludniły korytarz mieszkania. Teraz drzwi od pokoju Beli otworzyły się niezbyt cicho. Wszedł. Otworzył szafę. Zgarnął wszystkie ubrania z szalonym hałasem i potykając się, uciekł na schody. Bela wypadł za nim. Gonił go w bieliźnie po ulicy, wreszcie złapał obdartusa przy pomocy przechodzącego policjanta.

Nowicjusz, niewdzięczny uczeń, nazywa się Jan Cielązek. Sąd grodzki skazał go na sześć miesięcy więzienia.

WIZYTA

Ledwie pan Marnicki zamknął oczy i przyłożył się do poduszki, a już w przedpokoju dosłyszał podejrzany szelest. Tak chroboczą myszy, krasnoludki lub włamywacze... Szelest zbliżał się do jego pokoju. Przez szparę w drzwiach zamigotało chytre, zielone światełko. Pan Marnicki zastygł, skamieniał z przerażenia. Chciał krzyknąć, lecz okrzyk zapuchł mu w gardle. Rozrósł się w krtani. Dusił. Drzwi otworzyły się bez szelestu i cień człowieka wślizgnął się do pokoju.

— Kto tam? — wyszeptał przerażony właściciel mieszkania.

— To ja — odparł cień spokojnym głosem i zielonym snopem światła zlustrował pokój, po czym skierował elektryczną smugę na łóżko pana Marnickiego.

— Co za ja? Jaki „ja”?

— Niech się pan nie obawia. Nikt z rodziny. Jestem po prostu złodziejem.

Spod kołdry wydobyło się westchnienie głębokiej ulgi. Jeszcze drżąca ręka sięgnęła do nocnego stolika. W pokoju zaśpiewało wesołe, żółte światło.

— Ach, tak! Niechże pan, siada. O! Tamten fotel będzie wygodny. Więc jest pan złodziejem?

— Tak. Ale nie mam czasu na towarzyskie rozmowy. Moc pracy przede mną. Proszę o kosztowności.

— Po pierwsze, niech pan schowa rewolwer. Co do kosztowności, znajdzie je pan w portmonetce na biurku. Jest tam jeden złoty groszy pięćdziesiąt.

— Pierścionki? Złoty zegarek?

— W lombardzie, drogi panie. Nie radzę zabierać kwitów, bo zostanie pan przyłapany.

— Niestety. A może coś z garderoby?

— Widzi pan ten jasny kwadrat posadzki pod ścianą?

— Widzę...

— Tam właśnie stała szafa, którą mi zlicytowano. W swoim czasie wisały w niej ubrania. Wspominam je z rozrzewnieniem.

— Az czego pan właściwie żyje? Nic u pana nie ma!

— Posadkę mam. Małą posadkę. Jakże pan może przychodzić do mnie przed pierwszym, tylko się pan naraża.

— Trudno. Mam pilne terminy.
 — Raty?
 — Podatki!
 — Ba! Przykro mi bardzo, ale nic panu nie poradzę. Natomiast pierwszego będę miał pieniądze i chętnie kupię od pana ten rewolwer, który widziałem przed chwilą w pańskim ręku.
 — Ten? Stary gruchot, ale mogę panu go sprzedać.
 — Doskonale. Będę więc pierwszego Pod Kometą o dziewiątej wieczorem. Dam piętnaście złotych. A teraz niech już pan idzie, bo oczy mi kleją się do snu.
 — Do milego!
 Wyszedł.
 — Hallo! Hallo! A niech pan nie zapomni zamknąć dobrze drzwi za sobą.
 Tak to się zaczęło, a skończyło się w sądzie grodzkim, który skazał pana Marnickiego na sto złotych grzywny za posiadanie rewolweru bez pozwolenia na broń, która poza tym uległa konfiskacie.

„ZA ZALICZENIEM”

Co to oznacza „za zaliczeniem”? Nie wszyscy wiedzą. Na przykład dwaj wojskowi mieli na ten temat sprzeczkę, którą warto zanotować.

— Słuchaj, co to znaczy „za zaliczeniem”? — spytał elegancki ułan swego kolegę z artylerii.

— To bardzo proste. Wyobraź sobie, że idziesz do sklepu i kupujesz sobie pas.
 — Kiedy ja mam nowy pas.
 — No to wyobraź sobie, że kupujesz jeszcze jeden nowy pas.
 — Mój drogi, jeszcze jeden nowy pas posiadam także.
 — Ach! Mój Boże. Przecież ja mówię tylko tak dla przykładu. Wobec tego wyobraź sobie po prostu, że kupujesz jedwabny pas galowy, no...
 — Kiedy nie potrzebuję nabywać sobie galowego, bo mam zupełnie nowy.
 — E... nie można z tobą. Więc wyobraź sobie, że kupujesz jeszcze jeden jedwabny pas galowy, żeby mieć dwa.
 — Kiedy ja już mam dwa galowe pasy.
 — No więc idziesz do sklepu i kupujesz sobie trzeci...
 — Dobrze, ale po co mi trzy galowe pasy? Przecież na bale chodzę najwyżej parę razy do roku. To byłaby zwykła lekkomyślność... Ty mi po prostu wyjaśnij, co to znaczy „za zaliczeniem”?
 — Właśnie to chcę uczynić. Więc wyobraź sobie, że kupujesz sobie, no kupujesz sobie pas.

— Ale po co mi pas?

— Chociażby, żeby się powiesić.

Nie wiemy, jak się skończyła ta rozmowa, ale jesteśmy pewni, że ów wojskowy do końca życia nie dowiedział się, co to może znaczyć „za zaliczeniem”.

A w przeciwieństwie do niego pewien niepokazany cywilny pan, nazwiskiem Abram Fiszbín, aż za dobrze się orientował w tym wszystkim i rozsyłał paczki „za zaliczeniem”.

Wiele osób otrzymywało takie kartki z poczty. Wynikało z nich jasno, że po opłaceniu jednego złotego można otrzymać przesyłkę zawierającą „odlew z brązu przedstawiający godło państwowe, wykonane w mennicy państwowej”.

Łatwowierni, którzy wykupowali przesyłki, zostali naciągnięci sposobem starym jak świat.

W niewielkim opakowanym pudełku znajdowała się jednogroszówka.

Wszczęto dochodzenie i pan Abram Fiszbín został skazany na sześć miesięcy więzienia.

POETA

— Pan jest poeta, panie Pinkierton?

— A czym mam być? Kupcem?

— Nie przesądzam. Handel w dzisiejszych czasach to już też jest czysta poezja. Ale nie wiem jednak, czy bądź co bądź pański zawód dobrze się rentuje²⁶.

— To nie jest bankierska kariera, ale rozumie pan, panie Szmelkes, widmo sławy, upajające rymy, te rzeczy robią swoje.

— No, dobrze, napisze pan wierszyka i co? Płacą od razu?

— Wcale nie płacą. W ogóle mnie nie drukują. Należę do zapoznanych pisarzy.

— A jak wygląda finansowo taka pozycja? Wybacz pan, panie Pinkierton, poziome pytanie zwykłego śmiertelnika.

— Taka pozycja wygląda nad wyraz ponętnie, panie Szmelkes. Ja piszę wierszyk na temat jakiejś firmy: z konfekcją damską, mogą być opony albo nożyki do golenia. Ten wierszyk jest bardzo brzydki.

— No, a za co pieniądze?

— Biorę wierszyka i umieszczam w gazetach jako ogłoszenie.

— To jeszcze pan dopłaca?

— Dopłacam. I z tego żyję. Mam nawet samochód.

— Nic nie rozumiem.

— Bo pan nie zna tych wierszyków. Jak wydział reklamy firmy, o której się pisze, z przerażeniem odczyta owe wiersze w pismach, to zaraz wynajmuje detektywa. Detektyw wyszukuje autora. Autorem jestem ja. Oni mnie wzywają i proszą na kolanach, żebym tylko przestał. Zwracają mi koszty i umawiamy się, że będę pisał wierszyki reklamowe o ich konkurencyjnej firmie. Ja reklamuję konkurencyjną firmę. Wtedy jej wydział reklamy wynajmuje detektywa, znajduje winowajcę i płaci mi, żebym już przestał, bo klienci się skarżą, że reklama ich jest na tak niskim poziomie. I tak w kółko. Z jednej branży można spokojnie żyć przez rok.

— A koszty własne?

— Minimalne.

— Mniej więcej ile?

— Sześć miesięcy z zawieszeniem. Rok i dwa miesiące. Trzy. Różnie bywa.

— Czy nie mógłby mi pan przytoczyć takiej reklamy?

— Pod dostatkiem: „Występują siódme poty, gdy używasz pudru »Koty«”.

— Jakie „Koty”, Cotti po prostu.

— Tym gorzej dla nich. Albo:

„Jeśli chcesz przejechać chłopa,
bierz opony od Dunlopa”.

Albo...

— Przestań pan! Przestań! Mnie to wystarcza w zupełności.

Sądowi wystarczyło także i pan Mieczysław Maciej Pinkierton, agent reklamowy, został skazany na sześć miesięcy więzienia za szantaż dokonany na szeregu firm w formie niechlujnych i dyskredytujących ogłoszeń. Po wyjściu z więzienia pan Pinkierton ma zamiar oddać się wyłącznie reklamom filmowym.

POGOTOWIE BRYDŻOWE

— Jak to? Jest pogotowie brydżowe?

— Naturalnie.

— Wystarczy zadzwonić i przyjeżdża facet, żeby nie zepsuć partii?

— Naturalnie.

— No i co? Skompromituje mnie wobec gości? Przy kolacji zaczniesz rybą jeść nożem albo po prostu się urżniesz, nawymyślasz prezesowi i zaczniesz obgryzać paznokcie.

— Wprost przeciwnie. Ręczę, że będzie zachowywał się wytworniej od wszystkich twoich gości. Zadzwoni. Obstaluj²⁷. Musisz tylko uzgodnić z nim cenę i powiedzieć, w jakim stroju ma się stawić.

— A jak przegra?

²⁶rentować się (daw.) — przynosić zysk, opłacać się. [przypis edytorski]

²⁷obstalować — zamówić, zlecić wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

— On nie przegrywa. To jest automat. Urzędnik. Siedem pięćdziesiąt za godzinę. Przegraną płacisz za niego. Wygraną dyskretnie oddaje ci po grze. Potem musisz naturalnie zaprosić go na kolację. Posadzi przy najnudniejszej babie i będzie bawił ją gratis. Mówię ci, że nie miałeś nigdy w domu tak przyjemnego młodego człowieka, jak taki z pogotowia brydżowego.

— Znakomicie. Gucio nie przyjdzie i tak, bo ma grypę. Nikogo już teraz nie wydzwo-
nię na czwartego. Świetny pomysł z tym pogotowiem. Podaj mi tylko numer telefonu.

Pan inżynier Z. odłożył słuchawkę i połączył się z podanym numerem. Cieszył się, że jego gości nie spotka zawód z powodu choroby partnera.

— Hallo, czy to pogotowie brydżowe?

— Że co?

— Czy pogotowie brydżowe?

— A owszem... owszem. Zaraz poproszę kupca...

— Kogo?

— Nic, Panie Fulkensztajn! Panie Fulkensztajn! Co, coś pan słyszał? Pogotowie bry-
dżowe wzywają... Już oddaję słuchawkę.

— Hallo? Jaki kupiec? Jaki Fulkensztajn? Pytam, czy to pogotowie brydżowe?

Dla odmiany w słuchawce odezwał się bas:

— Hallo? Pan się pyta, czy to pogotowie brydżowe? Owszem!

— Czy mogą panowie natychmiast przysłać mi na Elektoralną piętnaście jednego
gracza w smokingu po siedem pięćdziesiąt za godzinę?

— Siedem pięćdziesiąt? Na długo?

— Z kolacją.

— Przyjedzie.

Po godzinie zjawił się u pana inżyniera Z. mały rudy Żydek. Goście już byli w salonie. Rozległ się dzwonek. Pan inżynier pobiegł pośpiesznie do korytarza. W drzwiach stał mały rudy Żydek w smokingu i cyklistówce.

— Pan do kogo?

— Pogotowie brydżowe.

— Pan?

— No co się pan dziwi?

— Myślałem, że może jest ktoś okazalszy. Nie było kogo innego?

— Ruski oficer i mamy dwóch byłych ziemian też, ale oni byli już wcześniej zamó-
wieni. Pan szanowny się spóźnił.

— Ale w brydża pan gra dobrze, co?

— Nie. Ja nie umiem grać w brydża. Jestem szachistą.

— No to czegoście przyjęli obstalunek i czego mi pan głowę zawraca?

— A co? Klienta tracić?

— Co ja teraz pocznę! Cholera jasna!

— Nic się pan nie bój. Ja mam takie zdolności do gier, że zaraz grać się nauczę.
A może goście w szachy zagrają? Piękna gra... Ja nauczę...

— To już bezczelność!!!

— Co znaczy bezczelność? Niech się pan namyśla. Zagramy w szachy?! Nie? Już i tak
przyszedłem. Daj pan zarobić.

Wytworny pan inżynier Z. nie wytrzymał i zrzucił ze schodów dziwnego przybysza,
za co sąd grodzki skazał pana inżyniera na 20 złotych grzywny.

Podczas rozprawy sędzia, zaintrygowany dziwnym tłem zajścia, zwrócił się do po-
szkodowanego.

— Może mi pan wyjaśni, co to za pogotowie brydżowe?

— Ja nie wiem — zeznał zapytany. — Jestem subiektem²⁸ w sklepie korzennym
u kupca Fulkensztajna. Przychodzi do mnie mój szef i mówi: „Panie Aron, pan jest sza-
chista. Jedź pan, zarobisz pieniądze, bo jakiś wariat chce grać w brydża i nie ma z kim.
Płaci po siedem złotych pięćdziesiąt za godzinę i jeszcze sam się narzuca”. Tłumaczy-
łem kupcowi, że nie gram w brydża, ale on powiedział, że jak się ma smoking, to już
wystarczy, bo w szachy tacy państwo także chętnie zagrają...

²⁸subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

GOŚCIE I GOSPODARZ

— Proszę wysokiego sądu, żadnych tam uporczywych wybryków nie było podczas nocy. Dom otwarty prowadzę, gości czasem przyjmuję, a dozorca poszedł po posterunkowego tylko z tej złości, że go na zabawę nie zaprosiłem...

— Ja bym do takiego łachudraka nigdy na wódkę nie przyszedł — przerwał dozorca, który znajdował się w sądzie w charakterze świadka.

— Więc podsądny nie przyznaje się do winy?

— Nie, proszę wysokowego sądu, bo to było tak. Goście jak goście... Przyszli. Wódkę przynieśli. Nieznajomych naprzyprawiali. Żona gramofon nakręciła. *Rebeka*²⁹ i *Two serce*³⁰ odchodzi. Ci, co już swoją butelkę wypili, do tańca się biorą. Ja sam nie tańczę, bo i kulawy jestem, i baczenie muszę dawać, żeby mi czego nie ukradli... Szczególnie uważam na figurki, co na kredensie stoją i faktycznie swoją cenę mają, ale także samo na budzik zerkam, który na stoliczku, pluszowym serwetem przykrytym, koło naszego łóżka swoje miejsce ma i rano okrutnie dzwoni...

— Proszę się streszczać.

— Jak się mam streszczać, proszę wysokiego sądu — kiedy patrzę, a tu pusta serweta na stoliczku. Budzik znikł i nie wiadomo kto wziął. Tańczą wszyscy, jakby nic się nie stało. Wołam żonę, ale ona akuratnie w łubikacji siedzi zamknięta, więc sam do rzeczy się biorę. „Kochane goście — powiadam — budzik żeście mi zwędzili, to teraz nijakiego tańczenia nie będzie, tylko rewizję przeprowadzimy we własnym zakresie”. Goście ucieszyli się i dalej tancerki swoje rewidować. Ktoś nawet światło zgasił, no i trochę krzyku się zrobiło...

— Dobrze, ale w protokole jest napisane, że na schodach goście płytami gramofonowymi się bili.

— A tak. Bo ja światło zapaliłem i powiadam: „Ubierajcie się i sam rewizję zrobię, to bez obrazy moralności budzik się znajdzie”. Tak też zrobiłem, a budzika nie ma. Natenczas żona z łubikacji wychodzi i pyta się co tu zaszło. Powiadam: „Budzik ukradli, rewizję robię”. A ona: „Dureń jesteś, sama budzik do łubikacji właśnie schowałam, żeby kogo nie znęcił, bo błyszczący jest bardzo”. Wtedy goście honorne się zrobiły i mówią, że świnia jestem, bo niewinnych podejrzewam. Zaraz też żonie nawymyślali. „Podejrzliwa — powiadają — zabawę zmęciła”. Potem i mnie, i moją żonę za drzwi wyrzucili, krzycząc, że z takimi gospodarzami bawić się nie będą. Drzwi zamknęły, gramofon nastawili i tańczą. My się dobijali, bo mieszkania żal nam było, a oni wtedy drzwi otworzyli i różnymi płytami i poniekórym mebelkiem w nas rzucali.

— Jak się nazywali ci goście, którzy rzucali?

— Nie wiemy, proszę wysokiego sądu, jeden miał Felek na imię, ale już go nożami na Solcu³¹ porznęli...

— I co było potem?

— A, no utanczyli się. Gramofon ze sobą wzięli i poszli, a dozorca pana posterunkowego sprowadził.

Sąd grodzki skazał podejrzliwego gospodarza pana Mariana Pyszała na trzy dni aresztu za uporczywe zakłócenie nocnego spoczynku sąsiadów.

OFIARA RODZINY

Proszę wysokiego sądu, za ofiarę rodziny przed sprawiedliwością ziemską tu staję, za słabą ofiarę i do żadnej winy się nie przyznaję.

— Jednak podsądny Antoni Rzodkiewka zbił pielęgniarza do utraty przytomności.

— Tak jest, ale winę rodzina ponosi. Mam wyjątkowo liczną rodzinę, toteż na imieninach, które się u jednego wuja Polewalskiego na Woli odbywały, przez tę rodzinę zaniemogłem.

— W jaki sposób?

²⁹*Rebeka* — polskie tango skomponowane w 1933 do słów Andrzeja Własta z muzyką Zygmunta Białostockiego. [przypis edytorski]

³⁰*Two serce* — walc angielski *Stracilam tve serce* z filmu *Wzros* (1938), z muzyką Władysława Szpilmana i słowami Henryka Herolda (właśc.: Szpilmana). [przypis edytorski]

³¹*Solec* — dzielnica Warszawy między Powiślem a Ujazdowem. [przypis edytorski]

— W taki sposób, że jak zaczęto pić zdrowie dziadków, to z samego uszanowania do dna kieliszek wypilem, potem przeszli na wujów i ciotki, a u nas wiele ciotek, bo wszystko koroniarze³², nikogo z kresów i bolszewicy żadnej nie zabili. Kiedy już przyszło do bliższej rodziny, do tych wszystkich szwagrów, teściów i czort wie kogo, to pogotowie po mnie przyjechało i za chorego mnie do szpitala odwieźli.

Na drugi dzień ze szpitala do domu pojechałem. Sprowadziłem doktora. Czuję się okropnie. Doktor powiada: zatrucie alkoholem bardzo silne, aż dziwne, że pan delirki³³ nie ma. No i kazał, żebym na wszelki wypadek pielęgniarza sobie na noc sprowadził.

Sprowadziłem pielęgniarza. Solidny typ. Wąsacz jak feldfebel³⁴ z ruskiej armii. Usiadł na krześle obok mnie.

— Będę czuwał — powiada. — A tu — dodaje — ma pan dzwonek. Jak pan co chce ode mnie, to dzwonek poruszyć — zadzwoni.

No i zaczyna czuć nade mną, a ja sobie leżę i chcę zasnąć. Ale gdzie tam spać? Pielęgniarz głowę zwiesił i chrapie jak lokomotywa.

Próbuję zasnąć.

Pielęgniarz chrapie.

Myślę sobie: zadzwonię, może się obudzi.

Zaczynam dzwonić, ale pielęgniarz tylko trochę na krześle na bok się przekręcił i pogwizduje przez sen.

Próbuję zasnąć.

Pielęgniarz pogwizduje.

O spaniu nie ma mowy.

Dzwonię więc jeszcze raz.

Wyprostował się. Przestał gwizdać. Zabrał się do chrapania.

I tak na zmianę.

Aż znudziło mnie to wszystko i bach go dzwonkiem w łeb.

Przestał chrapać, ale takiego krzyku narobił, że zupełnie ze snu się wybiłem.

Sąd skazał Antoniego Rzodkiewkę na tydzień aresztu za obicie pielęgniarza w stanie nietrzeźwym.

CZERWONE IMIENINY

Wielka jest radość w domu, w którym „mamy dzisiaj imieniny”. Bo to gości się nazłazi, wody przyniosą, a nad ranem wszyscy karetką pogotowia odjadą.

Różne bywają imieniny. Od osoby zależy i od jej pozycji we świecie.

Z punktu widzenia naukowego należy rozróżnić następującą klasyfikację imienin: oficjalne albo szczere. Bywają także imieniny miłe albo rodzinne. Bywają nieudane i takie, gdzie wszyscy się pobili.

Przy sposobności, że to już o imieninach się zgadało, pozwolę sobie z własnego doświadczenia przytoczyć spis prezentów, które wywołują największe wrażenie na solenizantach.

Burżuazyjne, banalne kwiaty należy wycofać z obiegu. Żyjemy pod znakiem większej samodzielności!

I tak, młodziutkiej panience zamiast storczyków, gałązki mimozy czy pęku ponurych, purpurowych róż znacznie wytworniej jest przysłać na imieniny po prostu butlę wody, paczkę płaskich³⁵ i talię kart, żeby i monopol zarobił sobie przy święcie.

Często duma się nad wyborem prezentu dla pięknej pani w kwiecie wieku. Prezent w postaci kwiatów jest w danym wypadku nieznośną impertynencją³⁶. Zwiędną po paru dniach i będą nasuwać myśl o starości i zbędności rzeczy zwiędłych. Znacznie taktowniej będzie przypomnieć pięknej solenizantce czasu jej dzieciństwa. W tym celu zdobywamy

³²koroniarz — mieszkaniec Korony, tj. Polski, w odróżnieniu od mieszkańca Litwy w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. [przypis edytorski]

³³delirka (pot.) — od: *delirium*, majaczenie, stan zaburzenia świadomości, któremu towarzyszą halucynacje. [przypis edytorski]

³⁴feldfebel (z niem.) — stopień podoficerski, sierżant. [przypis edytorski]

³⁵Płaskie — dawna marka papierosów. [przypis edytorski]

³⁶impertynencja — niestosowne i obraźliwe zachowywanie się wobec kogoś. [przypis edytorski]

odpis metryki jej urodzenia, oddajemy cenny dokument do fotografa, żeby dokonał portretowego powiększenia, po czym dobieramy kosztowną ramę i jako portret przesyłamy ten upominek w taki sposób, żeby został doręczony owej pani, kiedy już jest pełno gości w salonie. Pani rozpakowuje intrygującą przesyłkę przy wszystkich i... śmiechom nie ma końca...

Natomiast osobom zupełnie starym lub bardzo chorym należy przysyłać na imieniny trumnę. Naturalnie dobrze dopasowaną. Taki upominek świadczy o wielkiej pieczołowitości i przywiązaniu prezentodawcy do solenizanta. Że to niby ma przyjaciół serdecznych, iż nawet jeśli umarł, zapewni mu zaraz dach nad głową.

Politykom, jeśli należą do partii rządzącej w danym kraju, należy przysyłać komplet farb i pędzli w najlepszym gatunku, żeby przy najbliższym publicznym wystąpieniu mogli znowu odmalować przyszłość kraju w pięknych barwach.

Jeśli zaś należą do opozycji, należy im nadsyłać kwiaty. Zawsze to mile dla oka, a pomóc — i tak nie pomoże...

Studentom na imieniny trzeba kupować mocne laski. Należy je nabyć w tej żydowskiej firmie, która ogłosiła, że „laski i zielone wstążki nabywa się u Arona Pinkiertona. W razie zatarasowania wejścia z powodu bojkotu — wejście przez podwórze”.

Jednak na imieninach pana Fortunata Kólko dnia 21 stycznia znalazły się zgoła inne prezenty. Przyszli goście, a każdy coś przyniósł. Wyborowa i piwo lały się strumieniami, bo zakąska była obfita. Minogi³⁷, parówki, golonka i różne jeszcze subtelniejsze delikatesy.

Ktoś nawet solenizantowi przyniósł trzy cygara w prezencie.

Pan Fortunat, rozczulony tak kosztownym upominkiem, zaraz obrzezał jedno i zabrał się do palenia.

Dostojnie wyglądał nasz Fortunat z cygarem w ustach. Miał coś z wielkiego finansisty w sobie, kiedy buchnął niebieskim kłębem dymu ponad biesiadnym stołem. Mało finansista — minister, można powiedzieć. I właśnie przy tej asocjacji³⁸ dokonano nań zamachu stanu. Coś trzasnęło w cygarze, nastąpił wystrzał. Całą twarz mu sparzyło. Cygara bowiem były „strzelające”.

— Cóż ty, mydłku zielony, imienin nie odróżniasz od pierwszego kwietnia? — zagaił solenizant ofiarodawcę owych maszyn piekielnych.

Nie czekając odpowiedzi, od słów przeszedł do czynów. A wiadomo: od czynów do pogotowia jest tak blisko, jak od pogotowia do komisariatu i od komisariatu do sądu grodzkiego.

Sąd grodzki skazał Fortunata Kólko na dwa tygodnie aresztu za pobicie swoich gości łóżkiem żelaznym. Zawsze mówiłem, że w mieszkaniu trzeba mieć tylko tapczany.

MIARA I UMIAR

Pojęcie umiaru i miary płynna to rzecz. Czasem jednak można przesadzić.

Aleksander Dumas kiedyś drukował swoje poczytne powieści w pewnym paryskim kurierze porannym. Płacono mu honorarium od wiersza.

Po pewnym czasie redaktor pisma zauważył, że Dumas zapełnia całe odcinki krótkimi dialogami.

Na przykład:

- Co słyhać?
- Nic!
- Nic?
- Tak!

Nic więc dziwnego, że redaktor przy najbliższym spotkaniu z Dumasem powiadomił mistrza, iż odtąd będzie mu płacił honorarium za każde słowo.

Wtedy do następnej powieści Dumas wprowadził dwóch... jakałów i sentymentalną pannę, która co drugie słowo mówiła „ach”...

Odtąd sprawa płacenia „od wiersza” i „od słowa” przynosi wiele kłopotów redakcyjnym, niejednym bowiem młody pisarz z dumą naśladuje Dumasa.

³⁷minóg — prymitywne zwierzę wodne podobne do węgorza, uważane za wielki przysmak. [przypis edytorski]

³⁸asocjacja — skojarzenie. [przypis edytorski]

Nie każdy jednak w ogóle jest artystą. Mam na myśli tych kilku ludzi na świecie, którzy nie piszą, nie malują i nie śpiewają, a u których pojęcie umiaru i miary jest także nieuchwytnie.

Pan Aron Pikuasik, właściciel sklepiku z materiałami łokciowymi³⁹, to jest takimi, które zaraz przecierają się na łokciach, kiedy zrobić sobie z nich ubranie, stosował miarę ze zbyt wielkim umiarem.

Miał facet drewniany metr, którym odmierzał towary, jednak metr ów znacznie się różnił od swego arystokratycznego, platynowego pierwowzoru z Towarzystwa Miar i Wąg w Paryżu⁴⁰.

Po pierwsze, metr Pikuasika nie był z platyny, o co nikt nie rościł doń żadnych pretensyj, a po drugie był znacznie krótszy. Wytarł się widocznie od ciągłego nieprania lub, jak wszystkie interesy handlowe, skurczył się z powodu kryzysu.

Tym oto przyborem Aron Pikuasik odmierzał „prawdziwy angielski kamgarn⁴¹”... prosto z Tomaszowa, lub „japońskie czeczunczej⁴² autentycznie” z fabryki sztucznych jedwabi, a ludzie kupowali, płacili i wychodzili...

Dopiero trzeba było karzełka, żeby zdemaskował pana Pikuasika.

Pan Julian Kapełek, karzełek, lat 56, jest człowiekiem wytwornym. Stroi się jak dandy, ale na cały garnitur dla siebie potrzebuje metr towaru. Właśnie metr na garnitur marengo⁴³, w którym miał zamiar oświadczyć się o rękę pewnej korpulentnej akuszarki. Jak się okazało, nie starczyło już towaru na kieszenie, a całe ubranie było tak ciasne, że pękło w jednym miejscu, kiedy pan Kapełek z bukietem róż w ręku klęknął przed obliczem swej oblubienicy.

Przykra sytuacja: trzyma facet bukiet róż i — ani rusz! To groteskowe wydarzenie zniewoczyło matrymonialne marzenia sentymentalnego karzełka, bowiem korpulentna akuszarka przerwała dość brutalnie tok jego wyszlifowanych miłosnych słów.

— Oświadczać się pan Julian przychodzi, a portki na nim pękają! Pętać jeden.

Nic dziwnego, że moralnie zrujnowany parterowy adonis⁴⁴ udał się na swych nisko skarosowanych⁴⁵ nogach do sklepu Pikuasika i sprawdził autentyczność jego miary.

W związku z tym Pikuasik stanął wczoraj przed sądem grodzkim, który skazał go na 300 złotych grzywny.

Podczas badania personaliów głównego świadka, pana Juliana Kapełka, miało miejsce małe nieporozumienie:

— Imię i nazwisko?

— Julian Kapełka.

— Lat?

— Pięćdziesiąt sześć.

— Zawód?

— Karzełek do wszystkiego.

ŚMIGUS

Stefan Trzebieniec, mały i miły chłopczyk (lat 56), wyszedł w drugie święto Wielkanocy do restauracji bez żadnej opieki. Rozejrzał się po sali i podreptał do stolika. Usiadł, rozparł się jak dorosły, poprawił swoje siwe włosy, wyjął z kieszeni mały ręczny dzwonek, taki,

³⁹materiały łokciowe (przestarz.) — tkaniny, wstążki itp. sprzedawane w sklepiku na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądanej przez klienta. [przypis edytorski]

⁴⁰metr ów znacznie się różnił od swego (...) platynowego pierwowzoru z Towarzystwa Miar i Wąg w Paryżu — dawniej jeden metr był definiowany jako odległość pomiędzy odpowiednimi kreskami na wzorcu wykonanym ze stopu platyny i irydu, przechowywanym Międzynarodowym Biurze Miar i Wąg w Sèvres koło Paryża. Od roku 1960 wzorzec ten ma charakter historyczny, metr definiuje się na podstawie stałych fizycznych. [przypis edytorski]

⁴¹kamgarn — tkanina z wełny czesankowej, dosyć gruba i mocna; używana dawniej na galowe i wyjściowe mundury wojskowe i policyjne, rzadziej na ubrania cywilne. [przypis edytorski]

⁴²czeczuncza a. czesuncza — dziś popr.: czesuczka, szorstka, ziarnista tkanina z surowego jedwabiu naturalnego; używana na sukienki, marynarki i płaszcze. [przypis edytorski]

⁴³marengo — gruba tkanina wełniana z ciemnej przędzy z jaśniejszymi nitkami. [przypis edytorski]

⁴⁴adonis — tu iron.: piękny mężczyzna, wzór urody męskiej; w mit. gr. Adonis był pięknym młodzieńcem, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. [przypis edytorski]

⁴⁵skarosowany (techn.) — o samochodach: wyposażony w odpowiedni typ karoserii. [przypis edytorski]

jakie noszą szwajcarskie krówki na opakowaniach niemieckiej czekolady, i zaczął dzwonić nim na kelnera...

— Słucham pana?!

— Proszę podać mi szklankę z wodą.

— Wyszy⁴⁶ oryginalne?

— Nie.

— Łostromecko⁴⁷?

— Nie: magistracką!

— Wodę... magistracką?

— Tak!... Tak!... Tak!... Co się pan tutaj dziwi?! Co? „Gość jest także człowiekiem”, jak mówi poeta... Żądam, i to natychmiast, szklanki z magistracką wodą: taką prosto z kranu!

— Czystą wodę?

— A niech mi pan brudną poda!!!

Kelner wściekły, że dla szklanki wody zajęto mu stolik, po długiej konferencji z dyrektorem lokalu postanowił jednak spełnić żądanie nerwowego chłopca.

Kiedy szklanka z wodą znalazła się na stoliku pana Stefana, nasz siwy chłopiec uspokoił się i zamówił butlę burgunda⁴⁸: — Pomard, rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy, podgrzany do dwudziestu stopni w cieniu — zadysponował.

Kelner wykonał rozkaz w lansadach⁴⁹. Tymczasem pan Trzebieniec włożył dwa palce do ust, nacisnął coś, że aż pstryknęło i na jego pulchnej dłoni zakwitły dwie szczęki, które wpuścił z pluskiem do wody. Sztuczne zęby błyszcząły w szklance jak japońskie rybki.

Cała sala była zgorszona, ale pan Stefan nie spieszył się wcale. Przeciwnie, z miłym uśmiechem zwrócił się do pewnej koronkowej starszej damy, która w sąsiedztwie jadła raki nożem i widelcem.

— O nieznajoma! — zawołał Trzebieniec. — Niech sobie pani wyobrazi, że już do dziesiątej restauracji dzisiaj wchodzę i nigdzie nie chcieli podać mi szklanki zwykłej wody, gdy ja, zanim wino zacznę pić, muszę zęby wyjąć i w bezpiecznym miejscu ulokować, bo psują się bardzo.

Podano mu butlę w koszyczku, niby niemowlę w pieluszkach. Trzebieniec zaczął cmo-kać, kumkać, plichtać, mlaskać, aż do dna butelkę wyniańczył. Wtedy zapłacił. Pogrążył dwa palce w szklance, wyjął szczęki i w ustach umieścił. Pstryknęło!

Zeby zatrzeć przykre wrażenie, zaczął głośno domagać się wykałaczek.

Spojrzał znowu na koronkową starszą damę, która ciągle jeszcze jadła raki. Był zalany, więc przyszedł mu szatański pomysł do pijanej głowy: chlust!... i oblał ją wodą z tej szklanki po zębach.

— Hi... hi... hi... Dzisiaj drugie święto. Szanowna Pani nie może się obrazić: Śmigus mamy.

Awantura. Protokół. Sąd grodzki skazał go na 50 zł grzywny.

LUDZIE W MUNDURKACH

Ulica Marszałkowska była widownią niebywałego zjawiska. Liczni przechodnie zwrócili uwagę na poważnego pana w meloniku, który szedł sobie zupełnie nago, opędzając się od uliczników gałązką choiny. Poza tym trzymał w dłoni jakąś małą, płaską książeczkę, która była jego jedynym nakryciem. Naturalnie, najbliższy posterunkowy, zainteresowany tak niecodziennym zjawiskiem, zaprosił go natychmiast na krótki cercle⁵⁰ towarzyski do sąsiedniej bramy.

— Wariackie papiery są?

⁴⁶Wyszy — niestaranne skrócenie oznaczające zapewne butelkowaną wodę mineralną z Wysowej Zdroju. [przypis edytorski]

⁴⁷Łostromecko — popr.: Ostromecko, wieś w pobliżu Bydgoszczy; tu w znaczeniu: butelkowana woda mineralna z Ostromecka. [przypis edytorski]

⁴⁸burgund — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

⁴⁹w lansadach — w podskokach. [przypis edytorski]

⁵⁰cercle (wym. [serki], daw., z fr.: kółko, grono osób) — pogawędka w zamkniętym gronie. [przypis edytorski]

— Nie. Jestem przy zdrowych zmysłach, ale nie mam zamiaru obrazić moralności publicznej, a oto mój dowód osobisty. — To mówiąc, podał z gracją posterunkowemu ową płaską książeczkę i zaczął wachlować się gałązką.

Widząc taką uprzejmość i brak wszelkiego oporu, policjant nakrył go własną peleryną i zaprosił na krótką przejażdżkę dorożką do najbliższego komisariatu.

— Okradli pana?

— Nie.

— Pan się założył?

— Nie. Po prostu nie mam ubrania. Byłem głodny. Ostatnie sprzedałem.

— Nie wolno. Nago!

— A gdzie przydzielają garnitury?

— Każdy musi mieć.

— Kto każe?

— Ustawa.

— A kto wydaje?

— Nikt.

— Ba! Żeby fasowali⁵¹, to co innego. Wie pan, to by nawet ładnie wyglądało. Umundurować całe społeczeństwo. Inżynierowie w zielonych fraczkach, a doktorzy w granatowych tużurkach. Albo dłaczego inżynierowie w zielonych, a doktorzy w granatowych? Może lepiej inżynierowie w różowych, a doktorzy w złotych, albo inżynierowie w czerwono-brązowych, albo bardziej skomplikować: inżynierowie w żółto-czarno-czerwonych, a doktorzy w złoto-biało-zielonych, albo inży...

— No, zajechaliśmy. Niech pan wysiada.

— Albo można by jeszcze bardziej skomplikować barwy wolnych zawodów. W każdym razie jedno jest pewne, poeci chodziliby nago, a tajni policjanci — jak pan sądzi, co?

— Niech pan wysiada, bo będę musiał użyć przemocy.

— Ale tajni policjanci? He? Mnie się wydaje, że powinni nosić duże kapelusze stosowane⁵², niebieskie fraczki, żółte pludery⁵³, szpady jak wstążki, koronkowe żaboty i lisie puszyste ogony? Co?

Nagi pasażer wykazał tyle inicjatywy przy projektowaniu nowych mundurów dla społeczeństwa, że dopiero całej rezerwie policyjnej, która wybiegła z komisariatu, udało się jakoś wyluskać go z dorożki i osadzić w komisariacie.

Jak się okazało był to bezrobotny heraldyk bez stałego zamieszkania, pan J. I. Skazano go na wolność zaraz po wytrzeźwieniu.

VIS-À-VIS⁵⁴

Pan Albin Buńczuk nie używał firanek.

Drobne to przewinienie, które wykracza raczej przeciwko poczuciu estetyki wewnątrz, stało się przyczyną hucznego procesu. Okno pana Albina wychodzi bowiem na podwórze, a na tym samym piętrze oficyny⁵⁵ z przeciwka mieszka pani Melania Chłystakowska, matka dwóch nieletnich córeczek. Córeczki pani Melanii lubią przebywać w oknie, udrapowanym różowymi firankami. Skromne są i patrzą na świat przez owe różowe firaneczki.

Pani Melania ma z tym wiele kłopotu, bo różne rzeczy dzieją się w pokoju pana Buńczuka, a wszystko widać jak na dłoni.

Rano pan Buńczuk łązi nagi, potem wychodzi do zajęcia, ale wtedy właśnie córeczki idą do szkoły, więc mało jest pożytku z jego nieobecności. Natomiast wieczorem pan

⁵¹*fasować* (gw. wojsk.) — wydawać z magazynu. [przypis edytorski]

⁵²*kapelusz stosowany* (daw.) — bikorn (dwuróg), rodzaj kapelusza powszechnego w XVIII i XIX w., szczególnie w wojsku i w marynarce, kojarzonego często z Napoleonem Bonaparte. [przypis edytorski]

⁵³*pludry* — krótkie spodnie z bufastymi nogawkami, element dworskiej mody męskiej od XVI w.; w daw. Polsce: każde krótkie spodnie. [przypis edytorski]

⁵⁴*vis-à-vis* (wym.: [wizawi], z fr.: twarzą w twarz) — naprzeciwko; osoba mieszkająca naprzeciwko. [przypis edytorski]

⁵⁵*oficyna* — niefrontowa, boczna lub tylna część kamienicy, bez bezpośredniego dostępu z ulicy, z wejściem przez podwórze, ze skromniejszymi mieszkaniami i oknami na podwórze. [przypis edytorski]

Albin różne wizyty przyjmuje i zanim światło już zgasi, niepodobna córeczek od okna odciągnąć.

Pani Chłystakowska przez dozorcę znać dawała, żeby pan Buńczuk albo firanki kupił, albo wizyt zaniechał, a kiedy tą drogą nic nie osiągnęła, zaczęła używać ostrej perswazji.

Kiedy na przykład zapalało się światło w mieszkaniu pana Buńczuka i sąsiad wprowadził piękną panią na ową prywatną scenę, pani Chłystakowska otwierała okno, wychylała się poza rampę parapetu i oznajmiała:

— Ty szantrapo⁵⁶, urwipłeciu jeden, albo firanki sobie, kup, albo zaraz światło gaś, bo tu uczciwe ludzie mieszkają i moje drobne córeczki lekcji odrabiać nie mogą!

— Zamknij się — syczał w odpowiedzi pan Ruńczuk i zatrząskiwiał okno, aby położyć tamę strumieniowi wyzwisk.

Światło jednak gasił zawsze dopiero wtedy, kiedy uważał to za stosowne. Pani Chłystakowska tymczasem musiała walczyć z córeczkami, które miały specjalną taktykę w zajmowaniu różowego punktu obserwacyjnego. Kiedy jedna z nich została odciągnięta od okna, druga zajmowała jej miejsce. Nigdy nie patrzyły razem. W ten sposób matka nie mogła unieruchomić obu jednocześnie.

Po skończonym przedstawieniu, kiedy pan Buńczuk gasił światło, panienki opowiadały sobie, co widziały, w ten sposób pomimo zabiegów pani Melanii, zamiast odrabiać lekcje, raz jeszcze widziały wszystko...

Cierpliwość pani Chłystakowskiej wyczerpała się ostatecznie i oskarżyła ona pana Buńczuka o obrazę moralności. Młody człowiek tłumaczył się w sądzie, że nie stać go na firanki.

Sąd grodzki skazał pana Albina Buńczuka na 50 zł grzywny.

GEŚ I WOJNA

Bywają niekasowe sztuki i powieści. Takie bardzo dobre, ale „niebiorące”. Tak samo zdarzają się mało interesujące rozprawy sądowe.

Na przykład: coś z drobiu. Zwykła nieinteligentna geś, a stała się przyczyną wojny i procesu, jeżeli nie dziejowego, to w każdym razie sądowego.

Felietonista jest w kłopotcie. Taka rodzima geś może służyć jako jedno danie dla kilku osób, ale nie zaspokoisz owym ptaszęciem kilkudziesięciu czytelników.

Przy jednej z ulic, które dla mieszkańców śródmieścia nie mają nazw ni znaczenia, w osypującej się kamienicy w lewej oficynie, na czwartym piętrze trzeciej klatki schodowej są dwa mieszkania niby dwa udzielne państwa.

„Jedno państwo” nazywają się Pichcik, a „drugie państwo” — Hufniarscy.

Mała strefa neutralna, wąska sień, dzieliła oba zaprzyjaźnione rody, które dawno zawarły między sobą pakt o nieagresji pomimo zgoła odmiennych ustrojów, jakie tam panowały. Bo pani Pichcikowa rządziła domem, a pani Hufniarska nierządziła⁵⁷ poza domem.

Rzec można, że Pichcikowa była bardzo dzielna, a Hufniarska bardzo podzielna.

W związku z tym w pierwszym państwie statystyka wykazywała silny przyrost ludności, a u Hufniarskiej — wzmożony ruch turystyczny.

Płodność Pichcików, którzy żyli pod hasłem „liczne dzieci to potęga”, spowodowała naprężenie stosunków pomiędzy państwami.

Ludzi coraz więcej, ściany nie chcą się rozstąpić, a już tyle jest dzieci, że drzwi nie można domknąć, żeby któremu nie przytrzasnąć nogi lub nosa. Tłok taki! Wiadomo: przeludnienie, z czego wynikała ekspansja do neutralnej sieni.

Niebawem pomiędzy „państwami” pojawiły się noty dyplomatyczne, pierwsze jaskółki zbliżającej się wojny.

— Jak mi będziesz, stara jędo, swoje kubły przed moje drzwi wystawiać, to ja ci pokażę! — głosiła nota werbalna Hufniarskiej.

⁵⁶szantrapa (obelż.) — kobieta niesympatyczna, złośliwa a. niemoralna. [przypis edytorski]

⁵⁷nierządzić (rzad.) — uprawiać nierząd. [przypis edytorski]

— Jak zechcę, to i na twojej głowie postawię, szantrapo nieczysta — brzmiała uprzejma, lecz zdecydowana odpowiedź.

Po takich oto notach dyplomatycznych nastąpiły gorączkowe zbrojenia, po czym już trzeba drobnego jeno⁵⁸ faktu, który stanie się bezpośrednim powodem wybuchu kataklizmu dziejowego.

I tutaj na widownię międzypaństwową wystąpiła gęś. Ta gęś przybyła z prowincji do stolicy. Marzyła może o karierze gwiazdy filmowej. Umysłowymi walorami i wrodzoną dystynkcją górowała bowiem nad niejedną z gwiazd filmowych, jednak z całej duszy przywiązana do pewnego gąsiora postronkiem, wędrowała w koszyku jowialnej handlarki drobiem i została prawnie nabyta przez Pichcikową, która kupiła ją już z silnym postanowieniem dokonania morderstwa kuchennym nożem.

Pichcikowa, po dokonaniu ohydneho czynu z iście szatańską premedytacją, bestialsko wypatroszyła i poćwiartowała młode, niewinne ciało, umieściła żywe, krwią ociekające mięso w garnku, odpadki zaś cisnęła do sieni kotom na ucztę weselną, gwałcąc w ten sposób neutralność tego terytorium.

I jak gdyby nic nie zaszło, jęła się⁵⁹ krzątać dookoła smacznych kęsów swej ofiary, a cała rodzina oczekiwała w skupieniu na bestialską chwilę potwornego gęsiożerstwa.

Tymczasem czujna Hufniarska zebrala z sieni dowody rzeczowe w postaci odpadków. Przy pomocy ostrych not dyplomatycznych wywołała wystąpienie sąsiadki i cisnęła jej w twarz okrwawione strzępy.

Wypadki rozwinęły się błyskawicznie. Regularną wojnę, z użyciem wszelkich najnowszych zdobyczy technicznych, jak np. pogrzebacz, przerwała zbrojna interwencja sąsiadów.

Obie mają teraz długi wojenne, które muszą spłacić, bowiem sąd grodzki nałożył na nie kontrybucję⁶⁰ w wysokości 25 zł na białogłowę⁶¹.

PSIKUS W DŻUNGLI

Czy znacie te dżungle miasta?

Groteskowy, komiczny gąszcz, krzyczący ludzkimi bolesnymi sprawami.

O! Tak! Wszyscy wpatrywali się nieraz w to kłębowisko, ślęcząc nad szklanką letniej herbaty.

Mam na myśli drobne ogłoszenia.

Te szuffadki, z których jedni ludzie pukają do świadomości drugich. Że szafa na sprzedaż, że dwupokojowe z łazienką, że zginęła teczka i student udziela lekcji i (o tragedio!) maszyna do szycia jest do sprzedania... od zaraz!

Każdy chyba czuje ten wiew prawdziwej wielkiej, ludzkiej poezji, jaki wieje z tych ostatnich stroniec częściej niż z „okienek” z wierszami!

Ale i tam są klasy, jest hierarchia. Solidne, fachowe „kupno i sprzedaż”, groteskowe ogłoszenia „matrymonialne”, nerwowe „różne”, rzeczowe „lokale” i modne „zgubione rzeczy”.

W tym ostatnim dziale zawsze jest to samo. „Zginęła legitymacja, łaskawy znalazca zechce” i tak dalej. Jakie więc było zdziwienie wśród licznych czytelników popularnego pisma, gdy właśnie wśród „zgubionych rzeczy” odnaleziono następujące, niecodzienne ogłoszenie:

„Zginął osobnik płci męskiej. Biber⁶² z łysinką. Lat około czterdziestu. Cechy charakterystyczne: nazywa się Zyzio Kamiński, jest doktorem medycyny. Wyszedł z domu dn. 10 października, po godzinie wrócił, po czym znów wyszedł i wrócił. Od tego czasu codziennie wychodzi, wraca, znów wychodzi. Łaskawy znalazca zechce uprosić go jak najłagodniej, żeby zatelefonował do Stefana Zielińskiego, który chce go zaprosić na brydża”.

⁵⁸jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁵⁹jęła się — zaczęła się. [przypis edytorski]

⁶⁰kontrybucja — okup wojenny, który pokonane państwo musi zapłacić państwu zwycięskiemu. [przypis edytorski]

⁶¹białogłowa (daw.) — kobieta. [przypis edytorski]

⁶²biber (gw.) — brodacz, mężczyzna z brodą. [przypis edytorski]

Jeszcze czytelnicy nie ochłonęli z wrażenia, kiedy po dwóch dniach w dziale „Kupno i sprzedaż” zaraz po solidnym ogłoszeniu „Młyn parowy sprzedam” natrafiono na anons następujący: „A. A. A. Sprzedam Stefana Zielińskiego, doktora medycyny, zamieszkałego przy Ściennej 7. Mało używany. Nadaje się do bicia po mordzie”.

Sensacja ta została przyćmiona nazajutrz, gdy czytelnicy przeczytali w dziale „Matrymonialne”:

„Idiotkę poślubi idiota. Zgłoszenia pod Zyzio Kamiński. Czwartkowa 3a”.

A niebawem w dziale „Różne” czytelnicy czytali, już ziewając z nudów:

„Różne rzeczy widziałem, ale takiego bałwana jak Stefan Zieliński radziłbym obejrzeć każdemu. Wstęp za niewielką opłatą na rzecz instytutu dla niedorozwiniętych. Oglądać można codziennie w domu (Ścienna 7)”.

A po miesiącu już nie w rubryce „Drobne ogłoszenia”, ale pod „Z sądu” można było odczytać następujący komunikat:

„Sąd skazał p. Stefana Zielińskiego i p. Zygmunta Kamińskiego na karę po dwadzieścia złotych grzywny za wzajemne zniesławienie”.

ARTYKUŁ 46

Artykuł 46 *Prawa o wykroczeniach*⁶³ karze dwutygodniowym aresztem za nieostrożność przy trzymaniu nieostrożnego zwierzęcia. Prawo nie ma tutaj na myśli „luksusowych zwierzątek”, czyli kobiet. Ostatnie badania uczonych stwierdziły bowiem niezbicie, że kobiety także są ludźmi. Kobieta rozwija się z tzw. dziewczynki. Wiedza jednak zna wypadki wtórne, kiedy to dorosła kobieta staje się z powrotem dziewczynką. Ciekawe: to wszystko nie ma nic wspólnego z określeniem „panna”.

Panna przestaje być panną w dwu jedynie wypadkach: a to w wypadku śmierci lub zamążpójścia.

„Utrzymanka”⁶⁴ — jest to termin częsty, służy do określenia kobiety, która utrzymuje, że kocha utrzymującego i której w wierności utrzymać nie podobna.

Słowo „białogłowa”⁶⁵ z biegiem wieków uległo zdrobnieniu i przynosi zapomnienie warstwom niezamężnym, pod nazwą „Białogłówka”⁶⁶.

„Dziwożona”⁶⁷ — jest to żona, której własny mąż już tylko się dziwi...

„Małpa” — w stosunku do kobiety jest bardzo często używane. Przybiera odmiany: małpa, małpuchna, małpeczka i stara małpa (dawniej zielona).

Jednak kobieta nigdy nie jest owym stworzeniem i nie o niej myśli art. 46.

Pomimo tego wszystkiego w jednej miłej rodzinie odbyła się następująca rozmowa:

— Pójdę z wami na spacer.

— Nie. Mama zostanie w domu!

— Właśnie, że pójdę — upierała się matka, przeszywając złym wzrokiem córeczkę i jej męża, który był młodym prawnikiem.

— Nie można! Artykuł zabrania!

— Jaki artykuł?

— Czterdziesty szósty!

— Co to znowu za artykuł?

— Artykuł czterdziesty szósty *Prawa o wykroczeniach* brzmi, mamusi, jak następuje: „Kto nie zachowuje należytej ostrożności przy trzymaniu niebezpiecznego zwierzęcia, podlega karze aresztu do 2 tygodni lub grzywny do 500 złotych”.

— Zwierzęcia? Wy śmiecie mnie tak nazywać?!?

— Ale co znowu! Mamusia przecież nie wyjdzie sama, lecz zaraz z sobą zabierze Top-si, a Topsi to jednak jest zwierzę i pogryzie pierwszego napotkanego przechodnia, bo

⁶³*Prawo o wykroczeniach* — z dnia 11 lipca 1932, ogłoszone rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego. [przypis edytorski]

⁶⁴*utrzymanka* — kobieta na utrzymaniu mężczyzny jako jego kochanka. [przypis edytorski]

⁶⁵*białogłowa* (daw.) — kobieta. [przypis edytorski]

⁶⁶*Białogłówka* — marka dawnej wódki produkowanej w Grodnie, od koloru kapsli do butelek. [przypis edytorski]

⁶⁷*dziwożona* — demon słowiański o postaci szkaradnej kobiety, podmieniający dzieci na własne, brzydkie lub kalekie. [przypis edytorski]

kaganiec jest dziurawy...

— Niech was głowa o to nie boli, Topsi jest grzeczną psiną. Idziemy razem na spacer.

Poszli. Młode małżeństwo szło z przodu, a mama tropiła już za nimi, wlokąc wredną sukę na smyczy. Łagodna psina lypała, zerkła z ukosa, aż upatrzyła sobie małą dziewczynkę, która nosła piłkę. Zaraz wyrwała się wraz ze smyczą, ugryzła ją w łydkę, a potem, jak gdyby nigdy nic, wróciła do swojej pani. Dziewczynka wypuściła piłkę i z krzykiem zaczęła uciekać. Posterunkowy, który widział tę scenę, spisał protokół właścicielce złośliwej suczki Topsi, pani Marii Mutrowej. Sąd grodzki skazał ją na 50 zł grzywny.

NIEUDANY SYSTEM

Nie chciałem się żenić, ale pewnego dnia, proszę wysokiego sądu, zadzwonił dzwonek od frontowego wejścia i w drzwiach stanęła jedna pani z płaską walizką. Już nazajutrz wyjaśniła, że chce zostać ze mną na zawsze.

Po roku miałem tego zupełnie dosyć. Jednak nie jest tak łatwo zerwać z kobietą, która nie jest twoją żoną. W takich wypadkach gentleman, aby rozejść się z przyjaciółką, zwykle najpierw z nią się żeni, a potem oboje rozwodzą się w zgodzie.

Ja zrobiłem inaczej.

Po prostu wynająłem sobie drugie mieszkanie i codziennie przenosiłem doń moje rzeczy. Tak, żeby nie zauważyła. Niebawem już najważniejsze papiery i najkosztowniejsze przedmioty znalazły się w moim nowym mieszkaniu.

Wtedy wziąłem piżamę, szczoteczkę do zębów i sam się przeprowadziłem.

Pierwszego dnia było bardzo przyjemnie. Drugiego dnia zacząłem myśleć o kobietach. A trzeciego zadzwonił dzwonek od frontowego wejścia i w drzwiach stanęła ona. W rękę trzymała płaską walizkę.

Już nazajutrz wyjaśniła, że zamieszka u mnie na stałe.

A po roku miałem tego wszystkiego dosyć.

Wynająłem więc trzecie mieszkanie i zacząłem przenosić tam po troszeczku moje rzeczy. Niebawem już najważniejsze papiery i najkosztowniejsze przedmioty znalazły się w moim trzecim mieszkaniu.

Wtedy wziąłem piżamę, szczoteczkę do zębów i sam się tam przeprowadziłem.

Na trzeci dzień zadzwonił dzwonek...

Po latach, kiedy już byłem właścicielem siedmiu mieszkań, doszedłem do wniosku, że aby pozbyć się przyjaciółki, należy zmienić system.

Wynająłem więc ósme mieszkanie, przenieśliśmy tam chyłkiem moje rzeczy.

Wtedy wziąłem piżamę, szczoteczkę do zębów, lecz zanim się przeprowadziłem, ożeniłem się z pierwszą lepszą spotkaną na ulicy kobietą i byłem bardzo nieszczęśliwy.

Tamta już więcej nie przyszła, ale okazało się, że to także nie jest system, bo moja żona nie miała nawet ćwierci zalet mojej byłej przyjaciółki.

Postanowiłem się jej pozbyć i wynalazłem inny system.

Po prostu przestałem zarabiać. Poskutkowało od razu.

SHIRLEY TEMPLE

— Wiesz, mam straszne przeżycia z żoną.

— Co się stało?

— Chce zostać gwiazdą filmową...

— Ma talent?

— Nie...

— No to przecież nie zostanie... Czego się martwisz...

— Ba, ale ona pragnie zabłysnąć na srebrnym ekranie na przekór wszystkiemu. Mój drogi, ona się charakteryzuje na różne gwiazdy. To są doprawdy koszmarnie rzeczy... Kiedy Greta Garbo była modna — to moja żona udawała Gretę Garbo. Później z łatwością godną pozazdroszczenia zaczęła się charakteryzować na Mae West⁶⁸. Po prostu przez cały dzień nadziewała się czekoladami i użyskiwała figurę jeszcze kulistszą od pierwowzoru...

⁶⁸Mae West, właśc. Mary Jane West (1893–1980) — amerykańska aktorka i piosenkarka; popularna szczególnie w latach 30. XX w., słynęła ze skandalizujących ról jako symbol niekonwencjonalnej i prowokacyjnej kobiecości. [przypis edytorski]

- Przynajmniej masz różnorodność...
- Ba, kiedy teraz jest moda na kogo innego.
- Na Shirley Temple⁶⁹?
- Właśnie...
- I co? Zdzieciła?

— Zupełnie. Pokój kazała przemalować na biało. Sypia w łóżeczku z siatką. Sprzedała wszystkie kosztowności i za te pieniądze kupiła sobie mnóstwo zabawek. Lalki, niedźwiadki, miniaturowe kuchenki, koleжки z szynami i tunelami. Straszne rzeczy! Wyobraź sobie, wracam do domu i patrzę, a tu żona siedzi na najwyższej szafie, w sukni obciętej tak krótko, że nie wiadomo, czy włosy ma krótsze od sukni, czy odwrotnie. Majta nogami w białych skarpetkach i bawi się w serso⁷⁰. Rozumiesz, trzydzieści osiem lat ma kobieta i takie rzeczy wyprawia. Nasze dzieci nic nie mogą zrozumieć i straciły do niej cały szacunek. Bo niby jak. Mamusia, a dziecko zupełnie...

— Tak, rzeczywiście nieprzyjemne rzeczy.

— Ba, nieprzyjemne, ale strach pomyśleć, jak się na nią patrzy na mieście. Wyobraź ją sobie, kiedy z sersem albo z młotkiem od krokiet⁷¹ idzie sobie do Saskiego Ogrodu. Na głowie ma włóczkową czapkę, włosy związane ogromną kokardą, a lat trzydzieści osiem. W Saskim Ogrodzie dzieci nie chcą się z nią bawić i kiedyś zbiły ją nawet. Tak że musiałem wynająć mojej żonie niankę. Niania jest od niej młodsza o piętnaście lat, ale ma duży wpływ na moją żonę i umie z nią się bawić. Mam teraz nieco więcej spokoju. Całymi dniami grają w klasy. Kredą na dywanach porobiły kratki i skaczą przez cały dzień. Ale najgorsze jest to, że moja żona chce się zapisać do przedszkola. Mężczy mnie i mężczy, żebym poszedł z nią na egzamin. Skóra mi cierpnie na myśl, jak nas stamtąd wyrzucą sromotnie... Ale to jeszcze nic... Czasem bawi się w Indian. Raz w salonie rozpałała ognisko ze specjalnie porąbanego w tym celu kredensu i zaczęła tańczyć dziki, wojowniczy taniec... Potem chciała zdjąć ze mnie skalp. Całe szczęście, że jestem łysy. Rozmyśliła się, a potem zaprowadziła ją do teatru Ortyma⁷² i jakoś się uspokoiła.

— No... widzę, że rzeczywiście masz ciężkie życie... Możesz pocieszać się tym, że moda na gwiazdy filmowe trwa krótko... Shirley Temple też nie jest wieczna...

— Dobrze, ale co ja zrobię, kiedy przyjdzie moda na King Konga⁷³!

IDEALNA ŻONA

— Taki deszcz, a pan spaceruje bez parasola. Nie lepiej to siedzieć w domu?

— Ba, nie dziwiłby się pan moim spacerom, gdyby pan znał moją żonę.

— Wytrzymać nie można w domu?

— Nie można.

— Brzydka?

— Gorzej: piękna jak gwiazda filmowa na reklamowej fotografii.

— Lekkomysłna?

— Gorzej: wierna.

— Przekorna? Złońska? Rozrzutna? Mądrała?

— Nie, nie, nie.

— Więc to jest po prostu ideał kobiety?

— Właśnie, anioł — psiakrew!

— Nie rozumiem.

— Ona jest za dobra. Myśli tylko o mnie. Całe życie poświęca temu, żeby mi je uprzyjemnić. Kocha mnie do szaleństwa. Wytrzymać nie można. Wychodzę rano z domu, a ona mi mówi: „Weź parasol, bo będzie deszcz i jeszcze się przeziębisz, kochanie”.

⁶⁹ Temple, Shirley (1928–2014) — amerykańska aktorka filmowa, piosenkarka i tancerka, najpopularniejsza dziecięca gwiazda Hollywoodu lat 30. XX w.; sławę zyskała w wieku 5 lat. [przypis edytorski]

⁷⁰ serso — gra rekreacyjna polegająca na rzucaniu i chwytaniu wiklinowego kółka na kijek. [przypis edytorski]

⁷¹ krokiet — gra dla 2–8 osób, której celem jest jak najszybsze przetoczenie drewnianej kuli z jednego końca boiska na drugi. Kula jest prowadzona przez wąskie druciane bramki za pomocą uderzeń młotka. [przypis edytorski]

⁷² Ortym, Tadeusz, właśc. Tymoteusz Prokulski (1898–1963) — polski aktor, reżyser, konferansjer, twórca polskiego teatru dla dzieci, autor kilkudziesięciu baśni scenicznych. [przypis edytorski]

⁷³ King Kong — potworny, ogromny goryl wystąpił po raz pierwszy w filmie z roku 1933, w reż. M. Coopera. [przypis edytorski]

Wobec tego powiadam: „Czytałem, że deszczu nie będzie”. Potem zdejmuję marynarkę i wychodzę na miasto, zawijając rękawy od koszuli. Naturalnie, deszcz jest, jakby z nią był w zмовie. Zaziebiam się, wracam do domu. I co pan myśli, co ona mówi?

— Pewnie zaczyna od słów: „A nie mówiłam”.

— Nic nie mówi, zupełnie nic. Rozumie pan te męczarnie. I tak całe życie mi schodzi. Zawsze mam rację. Jestem dla niej decydującą i ostatnią instancją. Bez odwołania.

— Właściwie nie widzę żadnej tragedii. Moim zdaniem jest pan jednym z najszczer-
śliwszych ludzi pod słońcem.

— Nie widzi pan? Ja też nie widziałem. Przez pierwsze dziesięć lat to jest zachwycająca historia, ale potem to już koszmar. Skondensowany koszmar. Ekstrakt koszmaru. Czego ja już nie robiłem, żeby wzbudzić w niej jakąś wadę. Wysyłałem samą nad morze. Nic. Nudziła się i przyjechała wcześniej, niż jej pozwoliłem. Dawałem jej środki rozdrażniające. Do mleka wsypywałem. Nie wyszła z równowagi. Modliłem się, żeby choć przez sen zrobiła mi awanturę. Gdzie tam. Nic. Nic. Nic. Sądzę, że niebawem ją zamorduję. Wstąp pan do mnie. Pokażę panu ten okaz.

Poszli. W przedpokoju nieszczęśliwy mąż idealnej żony powiedział przez zaciśnięte zęby:

— Patrz pan. Na wieszaku kapelusz. Nowy. Rano go tu nie było. Na pewno prezent od mojej żony. „Pamiętała”, że dziś są moje imieniny.

— Słyszysz pan ten śmiech w jej pokoju? — dodał po chwili. — Śmieje się, zawsze się śmieje, jeżeli ja nie jestem smutny.

— Tak, ale ja słyszę jeszcze jakiś głos.

— To pewnie monter.

Weszli, nie spodziewając się niczego. Jednak nie był to monter. Mąż idealnej żony na widok, który odsłonił się przed nim, zaczął tańczyć z radości, śpiewać i klaskać ręką po twarzy tamtego pana. Pogotowie zabrało obu do szpitala i wczoraj na rozprawie sądowej pan M. L. i Z. T. zostali skazani na sto złotych grzywny każdy.

POCZTÓWKI

Żona pana Kalasantego Ostróżko pojechała do Zakopanego i nasz towarzysz tułał się samotny w obrębie Wielkiej Warszawy⁷⁴. Pierwszy dzień upłynął mu na smętnych rozmyślniach, bowiem młode było to małżeństwo. Nazajutrz wybrał się do kawiarni, gdzie spotkał dawnego przyjaciela.

— Gdzie żona?

— W górach.

— To chodźmy na wódkę.

Poszli. Po paru dniach pijaństwa pan Ostróżko zapomniał o gnębiącej samotności. Może i dlatego, że nie sypiał nieparzyście. Nie od rzeczy będzie wyjaśnić na tym miejscu, że kiedy obudził się wreszcie w domu, skonstatował, że jego sypialnia, dotąd tak osamotniona, nabrała znowu nieco zniewieściałości...

Poranny ból głowy spowodował silne wyrzuty sumienia, które nie dały się stłumić nawet sokiem z piętnastu cytryn. Wobec tego pan Ostróżko przeprosił swą przemiłą towarzyszkę i udał się do sąsiedniego pokoju, aby napisać list do żony. Pióro samo skakało po niebieskiej kartce papieru:

„Kochana! Tęsknię za tobą. Doprawdy nie myślałem, że zaraz po Twoim wyjeździe na próżno będę szukał ucieczki od dławiącej mnie samotności. Nic więc dziwnego, że liczę każdą godzinę dzielącą mnie od twojego powrotu. A szczególnie dzisiaj czuję się blisko przy Tobie.

Całe dni spędzam w domu i marzę o Tobie. Twój Kalasanty”.

Właśnie kiedy adresował list, służąca przyniosła mu poranną pocztę. Pośród reklamowych ulotek od razu poznał list od żony. Łapczywie rozerwał kopertę, rzucił okiem

⁷⁴Wielka Warszawa — dawne określenie Warszawy w nowych granicach administracyjnych, jako miasta znacznie powiększonego o przyłączone w roku 1916 przedmieścia (m.in. Ochota, Mokotów, Czerniaków, Saska Kępa, Targówek, Bródno, Żoliborz, Młociny, Marymont, Powązki), z których dużą część stanowiły w momencie rozszerzenia obszary niezabudowane. [przypis edytorski]

na szpiczasty, kobiecy charakter pisma i skamieniał.

„Kochany! Tęsknię za Tobą. Nie myślałam, że zaraz po przyjeździe do Zakopanego będę na próżno szukała ucieczki od dławiącej mnie samotności. Nic więc dziwnego, że liczę każdą godzinę dzielącą mnie od powrotu do Ciebie, gdy tymczasem miejscowy doktor nakazał mi pozostać tu o miesiąc dłużej. Również nie mogę, niestety, radzić Ci, żebyś tu przyjechał, ponieważ jest bardzo drogo. Całe dni spędzam w pensjonacie, marząc o Tobie. Twoja Marianna”.

Pan Ostróżko zbladł więc bardzo, bo był człowiekiem zazdrosnym. Swoją list zamiast do skrzynki wrzucił do kosza i poszedł odszukać swego dawnego przyjaciela, uprzednio uprzątnąwszy sypialnię z przypadkowych i bardzo przystojnych naleciałości.

Przyjaciela znalazł w kawiarni i spoliczkował od razu.

— Tak, spoliczkowałem go — wyjaśnił w sądzie grodzkim. — Ale uczyniłem to nie bez powodu. Ten oto człowiek zniszczył moje piękne złudzenie. Gdyby nie zaprowadził mnie na wódkę, nie wplątałbym się w erotyczną historyjkę, miałbym czyste sumienie, nie napisałbym do żony obłudnego listu, a wtedy jej równie obłudne słowa wziąłbym za szczerą prawdę, jak to umiałem czynić dotąd. Za mało mamy przyjemnych złudzeń, aby nie karać ludzi, którzy je nam rozwiewają.

SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO

Słoneczne życie mieli ci Zdzisławowie Tarniccy. Od czasu jak przyjaźnię się z nimi, w skrytości przed samym sobą zazdroszczę im szczęśliwego pożycia. Bo to — proszę państwa — oboje piękni i młodzi, a nikt cienia nawet nie rzuci, jakimkolwiek podejrzeniem imienia ich nie zachmurzy. Wiadomo: wzorowe małżeństwo.

Błękitne po prostu.

On ją kocha, ona jego. Nigdy źle o sobie nie mówią. Zawsze widuje się ich razem. Co roku wyjeżdżają, ale także we dwoje.

Właśnie niedawno powrócili z dalekiej, wspaniałej wycieczki na Wschód. W Indiach aż byli.

Postanowiłem ich odwiedzić.

Zastałem tylko jego.

— Ach, jak moja żona się ucieszy, kiedy cię u nas zobaczy — przywitał mnie uśmiechnięty. — Poszła do fryzjera, za pół godziny wróci.

Usiedliśmy w salonie i przemiły gospodarz zaczął opowiadać mi swoje wrażenia z owej dalekiej podróży...

— Wyobraź sobie, że spotkaliśmy fakira, który sprzedawał eliksir zdrady... W małej buteleczce jest płyn przezroczysty, podobny do zwykłej wody, który ma tę własność, że czernieje, ilekroć w małżeństwie doszło do zdrady.

— Zabawne. Ty wierzysz w takie głupstwa?

— Nie wierzę, ale moja żona kupiła jeden flakonik. Tak dla żartów. Mogę ci pokazać.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że cała ta szarlataneria nic mnie nie obchodzi, mój przyjaciel wybiegł już do sypialni i po chwili wrócił, pokazując mi zwykły mały flakonik z przezroczystym płynem.

— To śmieszne, co? Wiesz, można by zrobić świetny kawał mojej żonie.

— Domyślam się. Wylejemy po prostu ten płyn, a nalejemy czarnego atramentu...

— Właśnie. I odłożymy z powrotem do nocnej szafki.

Tak też zrobiliśmy.

— Ciekaw jestem, jaką minę zrobi moja żona!

Niebawem piękna pani zjawiała się, przywitała się bardzo serdecznie, czule ucałowała męża i zaczęła się rozmowa, którą z łatwością skierowaliśmy na temat flakonika.

— To zwykłe oszustwo, nie wierzę w takie cuda, ale kupiłam ów eliksir tylko ze względu na niską cenę...

— Pewnie już go gdzieś wyrzuciłaś?

— Nie. Jest u mnie w nocnej szafce...

— Niechże pani przyniesie i pokaże mi tę buteleczkę.

— Ależ z miłą chęcią...

Piękna pani wyszła lekko, takim krokiem, jakim się wychodzi, kiedy ma się zamiar wrócić za kilka sekund.

Mrugnęliśmy do siebie porozumiewawczo i uśmiechnięci czekaliśmy na jej powrót.

Nie wracała jednak przez dłuższą chwilę.

Obaj byliśmy nieco zdziwieni. Odłożyliśmy przecież flakonik na tym samym miejscu.

Po minucie miałem wrażenie, że ktoś w łazience odkręcił na chwilę kran.

Minęła jeszcze jedna minuta.

Wreszcie do pokoju weszła piękna pani, niosąc w rękę magiczny flakonik i pokazała nam go ze swobodnym uśmiechem...

Płyn we flakoniku był przezroczysty.

Spojrzałem na jej męża.

Miał wytrzeszczone, skamieniałe oczy.

CZŁOWIEK, KTÓRY KUPIŁ PSA

Jerzy był szczęśliwym człowiekiem. Kiedy miał dwadzieścia lat, nie obrał sobie kariery naukowej, choć był człowiekiem bardzo zdolnym. Gdy mijał trzydziestkę, nie ożenił się, chociaż kochano go bardzo. Około czterdziestki nie zrobił majątku i nie miał poważnych kłopotów finansowych, tylko takie małe i przyjemne.

Mając już lat pięćdziesiąt, wyglądał na trzydzieści, zachował świeżość ducha i ciała, był lubiany, wesoły, w miarę niepoważny i w miarę wzbudzający zaufanie, jednym słowem, nucąc i pogodnie mijając szczęśliwe dni, szedł sobie prosto do trumny, która jeszcze na pewno rosła i żyła jako jedno z miłych drzew jakiegoś podwarszawskiego lasku.

Pewnego dnia jednak znudziła mu się samotność i kupił sobie psa. Mały szczeniak był bardzo pocieszny. Ruchliwy, wesoły i mądry, wprowadził nowy promień słońca do uśmiechniętego życia Jerzego. Niestety, niepotrzebnie zaczął rosnąć i niebawem osiągnął ów mądry wiek i wzrost, kiedy to wszystkie cztery łapy rozjeżdżają się po posadzkach, nie wiadomo dlaczego zaczyna się tarmosić firankę i potem pół pokoju ze strasznym hukiem wali się nagle w gruzy.

Jerzy pokochał swego psa, ale cierpiał przez niego zbyt wiele.

Wystarczyło wyjść na godzinę z domu, żeby zastać całe mieszkanie zamienione w gruzy. Nie można było jeść obiadów, bo pies ścigał obrus i wśród brzęku tłuczonego szkła trzeba było uciekać do restauracji.

Ale to jeszcze nic.

Pies był bowiem ogromnie zazdrosny o swego pana. Szalał po prostu, kiedy ktoś odwiedzał Jerzego. Najpierw zabierał się do sznurowadeł... niby bawił się, ale rozwiązywał je i kiedy zniecierpliwiony przybysz sięgał ręką, żeby poprawić kokardę, wyżlak kąsał jak wściekły pies.

Znajomi przestali przychodzić. Musiał przyjmować ich w hotelu.

Ale to jeszcze nic.

Pies wył po nocach i Jerzy nie mógł sypiać. Zaczął więc włóczyć się po dancingach, rozpił się i zaręczył z bardzo płochą tancerką.

Ale to jeszcze nic.

Po ślubie okazało się, że tancerka także miała psa. Psy pokochały się bardzo, gdy tymczasem małżonkowie nie zaznali szczęścia. Ona bowiem była kolekcjonerką. Kolekcjonowała obrazy moralności publicznej, gdy tymczasem on należał do publiczności moralnej.

Ale to jeszcze nic. Psy pogryzły się pewnego dnia na ulicy i małżonkowie, chcąc je rozdzielić, zaczęli je bić, co widząc, przechodzący członek opieki nad zwierzętami wezwał posterunkowego i spisał protokół. Jerzy N. został skazany na dwadzieścia złotych grzywny.

AKTOR WŁASNEGO ŻYCIA

Pan R. S. cierpiał na silny spleen⁷⁵. Jest to bogaty, przystojny mężczyzna lat około czterdziestu, pozbawiony głębszych zainteresowań, a treść jego życia wypełniają miłosne przygody.

⁷⁵spleen (ang.) — uczucie zniechęcenia, przygnębienia i apatii. [przypis edytorski]

Nie mogąc wypłenić z siebie natłoku fantazji i energii na zwykłe flirciki, stworzył sobie przeżycia o zacięciu iście komediowym.

Był autorem, reżyserem i aktorem swego podwójnego życia.

Kolekcjonera zabawnych przeżyć oskarżyła jego znajoma panna Marianna Fitek o oszustwo do sądu grodzkiego. I oto wyświetlono przed nami jeden ze scenariuszów wziętych z życia pana R. S.

Przystojny pan, przejeżdżając swoim pięknym samochodem po jednej z praskich uliczek, zauważył piękną twarzyczkę i smukłą kibić panny Marianny Fitek.

Zatrzymał się i zaproponował jej przejażdżkę samochodową. Skromna panna Fitek zgodziła się bardzo chętnie. Pojechali.

Tak zaczyna się film. Film reżyserii pana R. S. Ponieważ życie jest także udźwiękowione⁷⁶, i to od niepamiętnych czasów, para nieznajomych, mijając ulice i domy, prowadziła następujący dialog:

— Tylko pan nie bujaj, że to jest pańskie auto, bo jeszcze żaden szofer na to mnie nie nabrał.

— To jest auto jednego hrabiego, u którego pracuję jako szofer.

— Od razu wiedziałam, że pan szoferuje u bogaczy. Z miny widać.

W ten sposób pan R. S., przedstawivszy się jako niezłe sytuowany szofer, zaprzyjaźnił się z panną Marianną, zaczął bywać u jej rodziców („nocnych stróżostwa”), z którymi pijał wódkę i rozmawiał o polityce.

Sąsiedzi państwa Fitek szeptali, że Marianna „złapała na męża” zamożnego szofera i obiecywali sobie opowiedzieć mu to i owo nie tyle o panie, ile o Mariannie.

Auto pana R. S., jego skórzana kurta oraz kaszkiet, noszony w celu mistyfikacji, były bardzo popularne na tym przedmieściu Pragi.

Jednak dobry film musi posiadać nieco psychologicznej głębi, toteż pan R. S. zjawił się pewnego dnia u państwa Fitków bez maszyny, bez humoru i z twarzą pokrytą czarnym, desperackim zarostem.

Było to właśnie wtedy, kiedy pan domu miał zamiar poczęstować gościa wódką i delikatnie zapytać o zamiary względem swej nadobnej córeczki, a pani Fitek marzyła już o zapowiedziach, kąpeli całej rodziny w balii, o ślubie, o karecie, weselu i tych pięknych epizodach, na których widok eksplodowałyby z zazdrości wszystkie przetłuszczone sąsiadki.

Tymczasem zaniedbany oblubieniec oznajmił swoim „przyszłym”, że hrabia go wylał, że nie ma już maszyny ani pensji i że wszystko — fiut!

Od tego czasu panna Marianna była dlań nieco chłodniejsza. Po tym ostygła zupełnie. Nie przyjmowano go także u nocnych stróżostwa, wypominając brak posady.

Wreszcie panna Fitek oznajmiła mu pewnego dnia, że spotyka się po raz ostatni, ponieważ „trafił jej się” zamożny stolarz, który ma własny warsztat, nie jak te szofery, co zarabia, a potem mu każą wysiąść z samochodu i już jest bezrobotny.

Na próżno błagał ją pan R. S. na kolanach, zaklinając na słowa ich miłości.

— Nie rób frajera. Miłość to dobre na dwie godzinki, ale trzeba z czego żyć.

Wobec takiego argumentu ubogi pan R. S. odszedł w kierunku najbliższej taksówki, a następnego dnia pojawił się u swych „przyszłych” wytwornie ubrany, a na podwórze stał samochód pilnowany przez szofera w pięknym, białym płaszczu.

Cała rodzinka osłupiała na widok jak z bajki. Pan R. S. zakomunikował im, że szukał uczciwej dziewczyny, z którą ożeniłby się z miłości i że jeżeli panna Marianna nie wzgardziłaby jego urojoną biedą, zostałaby bogatą panią.

Panna Marianna dostała spazmów. Rodzice mają zatrute zimowe wieczory do końca życia, bo wspominać sobie będą, jakie to szczęście zdeptali. Tymczasem sąsiedzi puścili plotkę, że Marianna puściła się z właścicielem samochodu, przy którym jej narzeczony był szoferem i że dlatego z tego małżeństwa będą nici, co i lepiej, bo chłopu dobrze z oczu patrzyła, a Fitek jest wydra na całą Pragę.

⁷⁶Tak zaczyna się film (...) życie jest także udźwiękowione — autor zwraca uwagę na udźwiękowanie, gdyż filmy dźwiękowe pojawiły się dopiero na przełomie lat 20. i 30. XX w., dekadę przed powstaniem tekstu. [przypis edytorski]

NA DWIE ZMIANY

Historia obu przyjaciół jest dosyć banalna. Składa się z kilku aktów z epilogiem sądowym. Wszystko zaczęło się od tego, że Łabińczyk i Kolasiński razem mieszkali. Jeden miał pracę dzienną, a drugi nocną. Używali nawet wspólnego łóżka ze względów estetycznych. Chodziło bowiem o to, żeby ich pokój kawalerski nie sprawiał szpitalnego wrażenia.

Dzienną pracę miał właśnie Łabińczyk. Spał, jadł, czytał, odpoczywał i przyjmował wizyty w nocy. Kolasiński robił to wszystko we dnie. Jeśli panowie mieli do siebie jakiś interes, zostawiali listy na nocnym stoliku. Wszelkie rozmowy odkładali do niedzieli.

W jeden z marcowych poniedziałków, kiedy Łabińczyk powrócił do domu, zastał na nocnym stoliku kartkę tej treści:

„Zakochałem się, opowiem w niedzielę. — Kolasiński”.

Odpisał natychmiast na tej samej kartce: „Głupi jesteś! — Łabińczyk”. I poszedł spać.

Kiedy odpoczął nieco, wyszedł na miasto. Była jedenasta wieczorem. Poszedł do kawiarni. Uwagę jego zwróciła pewna skromna panienka o silnie wymalowanych ustach. Wyszedł za nią i poznał ją przy pierwszej gorszej sposobności.

Nazajutrz, kiedy powrócił z pracy, zastał list od przyjaciela: „Sam jesteś głupi. Zachwycająca dziewczyna. Zaręczę się z nią. Wszystko w niedzielę. — Kolasiński”.

Tym razem Łabińczyk odpisał krótko: „Moja lepsza. Nie zaręczę się z nią. Wszystko codziennie. — Łabińczyk”. I poszedł na randkę... Bo miał się spotkać ze skromną panienką i przyprowadzić ją do siebie celem zademonstrowania swego radia. Był to cel bardzo wzniosły i wkraczający w dziedzinę fantazji. Radia bowiem nie posiadał nigdy.

W czwartek Kolasiński dał znowu znać o swoim życiu. List głosił: „Zaręczyłem się. Ślub w czerwcu. — Kolasiński”.

Tymczasem Łabińczyk bardzo się zaprzyjaźnił z ową skromną panienką. Dowiedział się, że ma ona narzeczonego, który bardzo ją szanuje. Chodzą razem na spacer. Pewnego dnia pan Ł. nie poszedł do pracy. Pozostał w mieszkaniu wraz ze swą przyjaciółką. Oboje byli tak zajęci, że po prostu nie zauważyli, że dzień się zrobił. Nie słyszeli nawet zgrzytnięcia zatrasku, ani trzasku zamkniętych drzwi.

Zauważyli Kolasińskiego, kiedy już był przy nich.

— Co robisz z moją narzeczoną? — zawył, zraniony w serce.

— Jeśli ci odpowiem, że uczymy się pływać, to i tak nie uwierzysz.

To była ta sama pani.

REKLAMA A MIŁOŚĆ

Już średniowieczni rycerze ogłaszali imię swej ukochanej, dodając przez usta giermków, że jest najcnotliwszą, najpiękniejszą, najpobożniejszą, najskromniejszą, najdroższą, naj... naj... aj!... aj!...

A kto wątpił i twierdził, że owe wszystkie „naj” charakteryzują inną zgoła dziewczę, ten zostawał wyzwany na udeptaną ziemię.

Tak po raz pierwszy reklama zetknęła się z miłością. Musimy zauważyć, że już w zamierzchłych czasach była powodem do krwawych niesnasek.

Obecnie, w dobie ogłoszeń, neonów, wywieszek, plakatów Gronowskiego⁷⁷, czy Hryniewieckiego⁷⁸, reklama, której mamy pełno w uszach i oczach, stroni dotąd od delikatnych spraw miłosnych.

Nie wyobrażamy sobie nawet rycerza przemysłu czy polityki, smukłego lub pękatego pana z parasolem w ręku, który by postanowił reklamować swoją ukochaną girlsę⁷⁹, tancerkę czy gwiazdkę filmową, dajmy na to Fitę Orma (*Mańkę Wypłosz*) żywcem występującą na jakiejś kinowej nadsence.

I jak miałby to zrobić?

Czy nakręcić własny dodatek filmowy pt. *Wdzięki mojej ukochanej?*

⁷⁷ Gronowski, Tadeusz (1894–1990) — polski grafik i architekt wnętrz, jeden z pionierów nowoczesnego polskiego plakatu. [przypis edytorski]

⁷⁸ Hryniewiecki, Jerzy (1908–1989) — polski architekt, urbanista, grafik, projektant plakatów filmowych. [przypis edytorski]

⁷⁹ girlsa (wym. [gerlsa], z ang.) — tancerka rewiowa. [przypis edytorski]

Czy obstalować piosenkę z tekstem napisanym na cześć swojej lubej, nagrać ją na płytę i nadawać przez radio?

Czy po prostu zamówić plakat u któregoś z naszych grafików, który w kompozycję rysunku wmontowałby pięknie napis pochwalny, że najpiękniejszą, najcnotliwszą, najskromniejszą, najdroższą dziewczyną świata jest Fita Orma (Mańka Wypłosz)?

A jednak podobna przygoda miała miejsce i przed surowe oblicze sądu grodzkiego sprowadziła pana Apopleksego Linka z Solca wraz z korowodem świadków i poszkodowaną Emilią Korciołek, która dotąd szczyliła się względami i była najpiękniejszą, najdroższą pana Apopleksego.

Zaczął się od tego, że w jednym z pism codziennych, w dziale drobnych ogłoszeń, i to w rubryce „Różne” panna Emilia Korciołek wyczytała ni mniej, ni więcej tylko reklamę swojej osoby:

„Niniejszym zawiadamiam tych wszelkich osobników, którzy pretendują do ręki Emilii Korciołek, zamieszkałej bez rodziców, iż wzmiankowana prowadzi się źle, co na własnej skórze stwierdziłem. Z poważaniem Apopleksy Linek”.

— Czy oskarżony dał do kuriera⁸⁰ to ogłoszenie?

— Że go dałem i sześć złotych zapłaciłem, to się przyznaję, co i podpisem moim stwierdzone było w gazecie.

— Więc oskarżony przyznaje się do winy?

— Do nijakiej winy się nie przyznaję, bo i prawdą jest, że prowadzi się źle i że bez rodziców mieszka, jako że jest sierotą...

— W jakim celu dał pan to ogłoszenie?

— Z miłości bliźniego, żeby się jej nowy frajer nie przypętał, co by z nim takie rzeczy wyprawiała, jakie miała ze mną.

Tu przerwała panna Korciołek:

— Łże, proszę sądu, on przez zemstę, przez zemstę za tego blondyna z elektrowni! Żeby chociaż pod „matrymonialne” dał to ogłoszenie, może bym skargi nie wniosła, ale on mnie do „różnych” zaliczył. Że sierota jestem, słusznie wydrukował, jak się prowadzę — to się prowadzę, ale do takich „różnych” jeszcze mnie nie wpisali...

— Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie? — zapytał sędzia po uciszeniu wtrącającej się Emilii.

— Po pierwsze nie jeden blondyn z elektrowni, a dwóch: bronet z tramwajów i jeden łysy, co ma karuzel i kosze szczęścia, a po drugie, to suminie mnie gryzie, że do sądu przyszło i dziewczynie będą wypominać, że za świadka była, więc, proszę sądu, ożenię się z nią, tak jak kiedyś obiecałem, jeśli mi krzywa⁸¹ nie jest.

Korciołek jednak okazała się „krzywa” i sąd grodzki skazał Apopleksego Linka na dwa tygodnie aresztu.

Wychodząc z sądu, zauważyłem, jak do skazanego podeszło czterech panów. Jeden w stroju pracownika tramwajów, dwaj z elektrowni i łysy (prawdopodobnie właściciel karuzeli).

Po ożywionej dyskusji znikli w drzwiach baru Pod Karasiem⁸², trzymając się pod rękę i już *a conto*⁸³ z lekka się zataczając.

KWIAT I KARAWANIARZ

Pan Emanuel Przetyczko, z zawodu karawaniarz, prowadził podwójne życie.

W domu nie miał słodkich chwil. Przeciwnie. Jednopokojowa izdebka zajęta była aż pod sufit przez łóżka, żonę, balię, garnki, dwoje młodych dzieci i kanarka.

Kanarek śpiewał, dzieci płakały, żona krzyczała na dzieci, a pan Emanuel Przetyczko źle się czuł, miał wyższe aspiracje i był zwolennikiem ciszy i spokoju, które tak cenił podczas godzin swej pracy, kiedy mógł sobie spokojnie iść z latarnią obok karawanu posuwającego się naprzód krok za krokiem.

⁸⁰kurier — gazeta codzienna. [przypis edytorski]

⁸¹krzywa (daw., gw.) — niechętna, urażona, zagniewana. [przypis edytorski]

⁸²Pod Karasiem — dawny szynk działający w narożniku nieistniejącego dziś pałacu Kazimierza Karasia w Warszawie, mający wyjątkowo złą reputację. [przypis edytorski]

⁸³a conto (wł.: na rachunek) — zaliczkowo. [przypis edytorski]

Dziwne dostojęstwo chwili, głowy przechodniów, które obnażały się jakby na komendę, cichutki i urzędowy płacz rodziny zmarłego, wszystko to, przeżywane po kilka razy dziennie, wyrobiło w naszym Emanuelu Przetyczko wielkie poczucie godności osobistej i dążenie do innego, lepszego życia, jakie co pewien czas po niżonych cenach mógł oglądać w podmiejskich kinach.

Toteż pewnego dnia postanowił zerwać ze swym dotychczasowym życiem i poza domem znaleźć jaką oazę osobistego szczęścia.

Zamiast codziennej „setki” kupił sobie buteleczkę benzyny i dokładnie wyczyścił swój czarny surdut ze srebrnymi wyłogami. Obwiesił się przy tym kilkoma medalami z czasów wojny japońskiej⁸⁴. W koszu, na rogu ulicy, nabył wspaniałą kwiat za dwadzieścia groszy i udał się na miasto, sprawiając wrażenie dyplomaty z zamilowaniem oddającego się automobilizmowi... (zapach benzyny).

Pan Emanuel Przetyczko, odświeżony, odmłodzony i pełen zawrotnych nadziei na przyszłość, udał się teraz w kierunku jednej z ambasad zagranicznych i stanął przed drzwiami. Wahał się, czy złożyć jaką oficjalną wizytę, lecz doszedł do wniosku, że nie mówi po francusku i wobec tego może zostać źle przyjęty. Stanął więc tylko na marmurowych stopniach poselstwa i zaczął bawić się kwiatem, z taką miną, jakby przed chwilą wyszedł z wytwornego bankietu.

W tłumie przechodniów spostrzegł zgrabną dziewczynę, która śpieszyła z koszem pełnym porannych zakupów.

Tak! O takiej właśnie myślał.

Zstał więc ku niej, śmiejąc się uśmiechem i kwiatem:

— Rą... tą... bą... są... ną? — zapytał wytwornie, naśladowując nieskazitelną francuszczyznę...

Dziewczyna przyspieszyła kroku.

— Rą... tą... bą... są? Panienko? Gęsia ulica, gdzie jest? — dodał widząc, że imponuje jej minimalnie.

— Pan wariatki ze mnie nie strugaj! Lipę możesz pan z innymi robić! Karawaniarz, a Francuza udaje. Zawodu cmentarnego nie potrafi pan uszanować!

— A panienska wychowania żadnego nie posiada. Zagraniczny gość jestem i należy mi się dyplomatyczne traktowanie.

— Jakbyś pan był obcokrajowy, to byś po polsku nie gadał.

— Kiedy już piętnaście lat siedzę w tej ambasadzie, z której wychodziłem przed chwilą. Chrzcinicy tam byli u posła w rodzinie i na zakąskie nas pospraszali.

Po kwadransie szli już pod rękę. Panienska była wsłuchana we wspomnienia z podróży i opowieści o życiu dyptomatów i dopiero smutna rzeczywistość wyrwała ich z owych wspaniałych marzeń.

Smutna rzeczywistość, pod postacią przypadkowo spotkanej żony pana Emanuela, rzuciła się na niewinną dziewczynę z koszykiem. Dyplomata stanął w jej obronie. Wtedy nieporozumienie zlokalizowało się do małżeńskiej sprzeczki, szybko przzerwanej dzięki przybyciu odsiecz w postaci pogotowia ratunkowego.

POCHWAŁA GRZECZNOŚCI

Można spotkać dobrze ułożonego młodego człowieka. Owszem: w trumnie.

Bywają jednak wyjątki wśród żywych. Sam widziałem, jak pewien młody człowiek ustąpił miejsca w tramwaju jednej pani. Ta pani zemdląła zaraz ze wzruszenia. Kiedy ją ocucono, zwróciła się do młodego człowieka i rzekła: „Dziękuję”. A wtedy zemdlął ów młody człowiek.

Jednak grzeczność nie może być przesadna, jak to się działo w XVIII wieku, kiedy pewien hrabia miał się wyrazić do kochanka swojej żony:

— Drogi margrabio! Moja żona nas zdradza.

— Jak to? Pana też?! — oburzył się ów kochanek. — Niech więc moja szpada srogo pomści pańską krzywdę...

⁸⁴wojna japońska — wojna rosyjsko-japońska (1904–1905), toczona o panowanie na Dalekim Wschodzie, gł. w Korei; zakończona miażdżącym zwycięstwem Japonii, która dzięki temu awansowała do grona światowych potęg. [przypis edytorski]

— Nie karz ślepego miecza, lecz pochwę... — rzekł pojednawczo dobry hrabia.

Wiele jednak zmieniło się od XVIII wieku. Koronki i atłasy znikły tak ze strojów, jak i ze współżycia ludzi ze sobą. Gra życia rozgrywa się zawsze o to samo, lecz „samo” umiano przybierać ozdobiennie w zwiewne koronki, w rąk uściśnienia, w atłasy, w tajemne spojrzzenia, w drobne cacka, które mile komplikowały zwykłe, proste sprawy. Wino życia pito z pucharu, a teraz żłopie się je ze standaryzowanego naczynia...

Albo morderstwa! Czy nie można grzeczniej zgładzać ludzi?! Czy zaraz trzeba przywiązywać do szyn, żeby się pociąg przejechał po niewygodnym sędzim Prince’u⁸⁵, jak krytyka warszawska po ostatniej sztuce pana T. P.?

Dawniej robiono inaczej. Sam czytałem w pewnym pamiętniku z końca XVIII wieku, że jeden potentat procesował się z Radziwiłłem „Panie Kochanku”⁸⁶ o jakiś drobiazg i tracił na tym grube talary.

Strwożeni spadkobiercy postanowili unieszkodliwić sędziwego maniaka. W tym celu, korzystając z chwilowego niedomagania starca, sprowadzili doń zaufanego mnicha-lekacza. Ten zbadał nieboraka i jako kurację polecił absolutną dietę oraz leżenie w łóżku. Ponieważ starzec nie chciał leżeć, przywiązano go do łoża. Po szesnastu dniach zupełnej diety „drogi nasz rodzic ducha pobożnie wyzionął”...

Jeśli zestawić różne narody, grzeczność i wysoki poziom form towarzyskich osiąga swe szczyty u Anglików.

Jeden Anglik, pojmany przez ludożerców, którzy zaczęli jeść go żywcem, wyszeptał zbiegającymi wargami: — Smaczno, panowie!

U nas jednak dzieje się inaczej. Na przykład takie małżeństwo państwa Duchniaków. Niby „państwo”, a wcale nie byli grzeczni dla siebie, z czego wynikał wielki rozchód wszelkiego sprzętu szklanego i porcelanowego, który tłukli o siebie przy gorętszej wymianie myśli, a kiedy ze względów oszczędnościowych zaopatrzyli się w trwalszy sprzęt metalowy, z owych prywatnych waśni wynikło oskarżenie w sądzie grodzkim.

Srogi małżonek, pan Abram Duchniak metalowym garnkiem dotkliwie posiniaczył małżonkę.

— Co podsądny ma na swe usprawiedliwienie?

— Czy pan sędzia, proszę wysokiego sądu, był żonaty?

— Proszę nie kpić z władzy!

— No tak, jeśli pan sędzia jest kawalerem, to źle z moją sprawą, bo to, proszę wysokiego sądu, przychodzi onego dnia zdenerwowany, bo ciężkie czasy, urzędnikiem jestem, a do pierwszego daleko było jeszcze wtedy. Wiadomo, urzędnik jak dziewica: ciągle czeka na pierwszego... Tymczasem w domu obiad niegotowany, a żona z obcym jakimś drabem siedzi i śmieje się do siebie. I jak tamten sobie poszedł, to zaraz przyszło mi do głowy, że nie sam dzieliłem wierność mojej żony. No i tak z niczego się zaczęło. Ja jej powiadam, ona mi powiada, a że garnki były metalowe, to się szkoda cielesna na mojej małżonce zrobiła.

— I nie było panu żal?

— E, nie. Garnek i tak już przed tym był cały powyginany...

POMYŁKA

Pan Artur Ranienko nie miał w sobie nic z narcyza⁸⁷. Jednak kobiecym ruchem poprawił raz jeszcze kwiaty w wazonie i przejrzał się znowu w lustrze.

Była to cała ceremonia.

Najpierw cofnął się o dwa kroki, potem przechylił głowę jak ptak na gałązce. Dopiero teraz wyjął chusteczkę z bocznej kieszonki, rozfalował ją na wachlarzyk, po czym starannie włożył z powrotem i wtedy przechylił głowę na drugą stronę.

⁸⁵*pociąg przejechał po niewygodnym sędzim Prince’u* — 20 kwietnia 1934 niedaleko Dijon znaleziono przywiązane do szyn kolejowych zwłoki paryskiego sędziego Alberta Prince’a (1883–1934). Badał on sprawę finansowej afery Stawińskiego, w którą zamieszani byli wysokiej rangi urzędnicy państwowi. Mordercy po zabójstwie pozostawili zmasakrowane zwłoki na torach, żeby upozorować wypadek kolejowy. Aferę i morderstwo szeroko opisywała polska prasa. [przypis edytorski]

⁸⁶*Karol Stanisław Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku”* (1734–1790) — wojewoda wileński, znany z barwnego, hulaszczego trybu życia, popularny wśród drobnej szlachty. [przypis edytorski]

⁸⁷*narcyza* — człowiek skoncentrowany na sobie i bezkrytycznie uwielbiający samego siebie, zwłaszcza zachwycający się własną urodą. [przypis edytorski]

Tak trwał przez dłuższą chwilę, ale następnie wyjął dolną wargę, z głębokim namysłem znowu wyjął chusteczkę z kieszeni i tak już pozostał, bezradny, umęczony, niezdecydowany...

Pan Artur Ranienko czekał i skracał sobie czas czekania. Na schodach rozległy się kroki. Lekkie, sprężyste, coraz bliższe. Gorączkowo ułożył chusteczkę w trójkąt i wsunął do kieszeni. Skorygował się jednym spojrzeniem. Chustka po tylu próbach wyglądała jak pomięta wczorajsza chryzantema. Wyrwał ją więc oburzonym ruchem i cisnął do szuflady.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

Westchnął z ulgą, ręką poprawił sobie włosy i wystudiowanym melodyjnym krokiem minął korytarz.

— To ty? — spytał, otwierając drzwi. — Kochana...

— Przepraszam? Ubrania kupuję, może pan ma stare buty, kapelusze, bieliznę także.

Pan Artur zatrzasnął ze złością drzwi przed samym nosem niefortunnego handlarza...

Wrócił przed lustro do przerwanej historii z chusteczką.

Pukanie ponowiło się.

— Kto tam?

— Pan sprzeda?! Ubrania, może stare buty, kapelusze. Dam dobrą cenę!

— A pójdziesz pan nareszcie! Natręt.

Wrócił do pokoju i zajął się przed lustrem już trzecią chusteczką.

Pukanie przerwało mu znowu.

Zdenerwowany zbliżył się teraz i zaczął krzyczeć:

— Cholera jasna! Spokojnie w domu nie można wysiedzieć. Nałóż i nałóż... Jak dam w mordę!...

Tu przerwał. Od otwieranych drzwi odchodziła pośpiesznie giętka i smukła, kołysząca się ukochana...

Dogonił ją i zaczął przepraszać. Schodziła po schodach nadąsana i obrażona. Nie sądziła, że on mógł w ogóle do kogokolwiek mówić w taki sposób.

Szedł za nią aż do bramy aż na ulicę. Zabiegał z prawej strony, z lewej, gestykulując i wyjaśniając.

Nawet nie spojrziała w jego stronę, stanowcza i zamaszysta. Patrzeli natomiast ludzie i zatrzymywali się w osłupieniu. Rzadki był to obrazek: młodzieniec w granatowej piżamie z piękną chusteczką w bocznej kieszonce wyjaśnia coś wytwornej pani i człapie po śniegu w tureckich pantofelkach...

ANONIMY

— Hallo?

— Tu życzliwy...

— Kto?

— Życzliwy... Pańska żona jest w tej chwili w hotelu Panama z...

— Przepraszam... A który numer pan sobie życzył?

— Dwieście czterdzieści dziewięć jedenaście. Miodulińscy.

— Może Antoni Mioduliński?

— Właśnie...

— To on także nie jest żonaty.

— W takim razie przepraszam bardzo...

Tego rodzaju anonimowe telefony należą do nieudanych, są to anonimy prostackie, rzucane na wiatr bez podstaw i danych. Otwiera facet książkę telefoniczną i zaczyna sobie dzwonić. Po kwadransie trafi na żonatego.

— Hallo?

— Tu życzliwy...

— Hehehmmm, kto?

— Życzliwy... Pańska żona jest w tej chwili w hotelu Panama z...

— E! Głupstwa pan gada. Właśnie siedzi w kuchni i robi morelowe konfitury. Widzę ją przez otwarte drzwi.

Bardzo lubię morele. Jednak po następnym kwadransie (wg rachunku prawdopodobieństwa) nasz miłośnik anonimów trafia na podatny grunt.

- Tu życzliwy. Pańska żona jest w tej chwili w hotelu Panama z...
- Z Kuszpietowskim?
- Nie.
- Z Pitulińskim?
- Nie.
- Z futbolistą Kwaśniakiem.
- Nie, nie, nie...
- Więc z kim znów dzisiaj jest ta idiotka?
- Z barczystym blondynem o twarzy kryminalisty.
- Aha! Dziękuję panu. Ale to nic, to jest jej narzeczony...
- Jak to? Pańska żona ma narzeczonego?
- Naturalnie...

Miłośnik anonimów jest zrozpaczony. Odwiesza słuchawkę i udaje się na wódkę. W barze wlewa się na wesoło. Chwiejnym krokiem podchodzi do telefonu i wobec wielu osób wyszukuje jakiś numer w książce telefonicznej, po czym dzwoni, sepleniąc pijacko do słuchawki:

— Czy to mieszkanie pana doktora Fitalskiego? Tu życzliwy, pańska żona zdradza pana w tej chwili w hotelu Panama ze swym narzeczonym-kryminalistą.

— ...

— Ach! To służąca. Proszę poprosić pana do telefonu.

— Wyszedł? W takim razie zaraz, kiedy tylko wróci, trzeba mu powtórzyć to, co mówiłem.

Miłośnik anonimów jeszcze nie zdążył odwiesić słuchawki, a już od najbliższego stolika wstał jakiś pan i spoliczkował go siarczyście.

— Pan przed chwilą dzwonił do mego mieszkania — dodał po chwili. I odszedł...

KSIEŻYCOWE KŁOPOTY

Księżyc, zupełnie błydy i wymokły po przepitym dniu i nocy spędzonej na stanowisku, niedbale wyjął z ust papierosa i rzucił za siebie, przeciągnął się leniwie, splunął, westchnął raz jeszcze i poszedł na spacer. Była pełnia. Należało błyszczeć beztróskim, wesołym uśmiechem, tymczasem w roztargnieniu zupełnie zapomniał wypomadować łysinę i przejrzeć się nieco w jakimś jeziorze. Wziął więc głęboki łyk powietrza w płuca, wyjął policzki i zajrzał do pobliskiego stawu.

— Owszem. To może uchodzić za pełnię.

Poszedł dalej, potykając się o konary i ścieżki. Rozbryzgując tysięczne promienie, zaczął włóczyć się rozpaczliwie.

— Psy wyją. Głupie zajęcie sobie obrałem.

Noc była chłodna. Sięgnął więc po mały brunatny obłok i wsadził go sobie na wypięty łeb.

— Mogliby deszcz zrobić. Chmury nudzą się po oborach, a ja już dziesiąty dzień urzęduję bez przerwy. — Tu przerwał i uklonił się dosyć przystojnej gwieździe, która patrzyła nań ciekawie spod długich, srebrnych, opuszczonych rzęs. Oddała mu ukłon z bardzo skromną minką.

Zawstydził się, wiedział bowiem, że ona tylko tak i że u gwiazd już nigdy nie będzie miał powodzenia. Zacerwienił się więc zupełnie, opadł nad sam las niby wielki balon i z trwogą zaczął rozglądać się po niebie. Jeszcze ktoś obserwuje, znowu doniosą władzom, już i tak ma bardzo złą opinię i mogą go zredukować jak nic. Sam jesteś jak kołek, smutny satelita, i jeszcze musisz spełniać jakieś idiotyczne obowiązki. Daleko, o kilkaset kilometrów ukazała się chmura. Pofrunął ku niej znad lasu z nieprzepisową szybkością, opatulił się miękkim, wilgotnym gąszczem i zaczął marzyć. Zaraz jednak zbudziło go szczekanie psów i szum fal, które zrywały się z morskiej uwięzi i niby wściekle, szczekoczące wilczury skakały aż pod chmurę, tryskając białą pianą z brunatnych, rozdrażnionych do żywej krwi pysków. Daleko w niebie zaczęło rozlegać się nawoływanie dyżurnych aniołów. Już spostrzegli. Zdrzemnąć się nie można. Ociągając się i ziejąc niechęcią, wygramolił się z chmury jak ze stogu.

I poszedł dalej.

Fale uspokoiły się w morzach. Ujrzały go i zaraz zaczęły znowu łasić się natrętnie. Odpędzał je, myśląc o czym innym, i szedł przepisowo, wolno, czuł bowiem, że daleko w samym sercu nieba ktoś nudny, uparty i wymagający nie spuszcza zeń oczu ani na chwileczkę.

Z nudy zaczął łązić po dachach śpiącego miasta i zaglądać do okien, pluskając palcami po szybach. Co prawda nie wolno tego robić, ale takiej drobnostki już chyba nikt nie zauważy.

Nagle stanął jak wryty. Wpatrzył się w otwarte okno, wsadził pół głowy do wnętrza i zastygł.

Czas płynął, a on trwał tak, jak skamieniały. Tylko złośliwy uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Wreszcie zaczął cofać się w głąb nocy. Coś sztywno poruszyło się w pokoju i na parapecie stanął młody człowiek w zielonej piżamie. Szedł za księżycem, który jednym filuternym okiem zerknął w mijane otwarte okna.

Wreszcie zatrzymał się i spojrzał w głąb pokoju. Na dużym małżeńskim łóżku spał otyły pan z brodą. Brodę trzymał na koldrze.

Księżyc zerknął na lunatyka. Posłuszny, okryty srebrną drętwą⁸⁸ młodzieniec drewnianym krokiem wszedł do pokoju.

— Nie, drogi panie, tym razem to ja jestem w domu, a moja żona wyjechała! — krzyknął na powitanie pan z brodą i wewnątrz powstała wielka bijatyka.

Księżyc cofnął się dyskretnie, poszedł nad lasy i jeziora, wymachując strugą promieni niby zwinną i krętą laseczką.

— Prędzej, prędzej! — wołał dyżurny anioł. — Znowu się spóźnicie na poranny raport.

Sąd, stwierdziwszy, że pan Aleksander Paluch jest autentycznym lunatykiem, wydał wyrok uniewinniający.

SZUMOWINY

Kiedy pogasną latarnie, a świt szarym blaskiem rozbarwi ciemne kontury zmarłych domów i rozświetli miasto, po minionych conocnych igrzyskach ciemnych namiętności, wzdłuż ziewających ulic ścieka pstrokaty ludzki tłum i zbiera się niby mętny osad w okolicach dworca oraz w paru dorożkarskich knajpach.

Sto wcieleń bezsennej nędzy. Chichot bezzębnych ust. Ludzie, którzy przegrali stawkę życia. Wytworni zaświatowcy. Czupiradła wyjęte spod prawa. Mordercy płaczący nad kuflem piwa. Wióry wielkomięjskiego życia. Portowe dno.

Piją wódkę. Przechwalają się. Wywlekają wspomnienia urojonej wspaniałej przeszłości.

Każda twarz jest godna strofy Rimbauda⁸⁹. Oto knajpa zamienia się w statek pijany. Odplywa w nieznaną dal.

Mały chłopczyk nakryty kopcem łachmanów tuli się do staruszka, który pije „setkę” i śliskim wzrokiem spogląda na malca.

— Tatusiu! Chcę już iść spać!

— Siedź, cholero! Syneczku kochany... Siedź, bo ci mordę skuję!

I oto starzec czule gładzi synka po głowie. Odkłada pustą butelkę i wyjmując następną z kieszeni. Pije z gulgotaniem grdyki.

— Tata! Spać!

— Waruj! Jeszcze masz czas, kochany syneczku. Dopiero świt. Pomęcz się troszeczkę.

Małek zasypia wreszcie, przytulając wklęsłe, zielone policzki do zaśmieconego stołu. Staruszek budzi go natychmiast.

— Nie śpij, kochany syneczku. Tylko nie śpij!

Dzieciak nie może nawet płakać. Przelewa się przez ręce starca, który ściąga go za karę z krzesła i stawia przed sobą.

— Postój jeszcze trochę, kochany syneczku, to cię zmęczy...

⁸⁸*Drętwa* (poet.) — drętwa, odrętwienie. [przypis edytorski]

⁸⁹*Rimbaud, Arthur* (1854–1891) — francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów przeklętych, wybitny przedstawiciel symbolizmu; autor m.in. poematu narracyjnego *Statek pijany* (1871). [przypis edytorski]

Chłopiec przewraca się. Wtedy starzec bierze dzieciaka w objęcia, tuli do piersi i ziejąc wódką, wychodzi z dusznej knajpy.

Niesie go na róg ulicy i kładzie we wnęce domu. Obok umęczonego dziecka układa skarbonkę żebraków, czapkę odwróconą do góry dnem.

— Zarabiaj, kochany syneczku! Zarabiaj.

I wraca do knajpy...

OSTATNIA SYRENA WARSZAWY

W Halach⁹⁰ szalony ruch. Kupcowe sprzedają ryby. Ryby trzepią się i tańczą na drewnianych stołach, tak jakby chciały bardziej się wyostrzyć i splaszczyc. Kupujący cofają się i wracają. Życie wre. W powietrzu pachnie łuską, zgniłą wiosną i pośpiechem. Wreszcie cichnie wszystko, kupujący oddalają się. Na niebie zapala się księżyc przedmieścia.

Ponieważ ryby mieszkają w wodzie i za nic w świecie nie chcą zrzec się tego przywileju, na noc umieszcza się je w basenach, gdzie myją się i następnie grzecznie układają się do snu. Rano, kiedy handel rozpocznie się znowu, przekupki wylawiają je i sprzedają, sprzedają przez cały dzień, a ryby protestują z oburzeniem, wyslizgują się z rąk, klaszczą o lady i podłogi, nie chcą pozwolić się zważyć, tańczą jeszcze w koszach służących, wiją się w kuchniach pod ostrymi nożami kucharek, prężą się, trzepią całym ciałem o patelnię, a wreszcie podane do stołu na półmisku potrafią jeszcze zeskoczyć z talerza i oddać kilka klaszczących susów ponad zdumieniem biesiadników.

Jednak nawet wtedy, kiedy w półmroku mirowskich wieczorów kąpią się we wspólnych basenach, życie nie daje im także spokoju. Cichy plusk i nagle coś je podrywa do góry. Nie mogą się oprzeć. Jadą pod powierzchnię i wyżej ponad swój żywioł. Znowu więc protestują, skaczą i tańczą, ale siatka wznosi je wysoko i wysypuje do kosza, gdzie leżą jedna na drugiej we wspólnej mogile, zasypane powietrzem jak ziemią.

Kiedy nocą wydarzy się taki wypadek, nazajutrz wiele jest krzyku w halach. Poszkodowana kupcowa rzuca podejrzenia na szanowne swoje koleżanki, rozpoczynają się walenie i bijatyki. Panie walą się szczupakami po perukach. Ogólne zdenerwowanie wzrasta. Udziela się rybom. Ryby cieszą się z niesnasek swoich oprawców, wyslizgują się z rąk, klaszcząc o lady i podłogi, jeszcze tańczą z radości w koszach służących, wiją się ze śmiechu pod płaskimi nożami kucharek, klaszczą z zachwytu na patelniach, a wreszcie, podane na półmisku, jeszcze z talerzów skaczą do góry wesołymi wysokimi susami.

Tymczasem w halach historia nocnej kradzieży zaczyna się konkretyzować.

— To pani ukradła mi ryby!

— Odczep się, ty wariatka!

— Tu nie ma „odczep”. Ja poznałam tego karpia. To jest mój karp. Ja znam każdą swoją rybę.

— Widzicie jaka mądra... A po czym kupcowa ją poznaje?

— Zeza miała. Zeza na prawe oko...

Nieporozumienie zatacza coraz szersze kręgi, handel zacina się. Ustaje. Kolorowe, pstre, nieszczęśliwe, karłowate stado ludzi z ciekawością otacza kłócące się przekupki, a one zaraz zderzą się z sobą, skoczą sobie czupurnie do włosów. Nad tłumem zawisną strzępy piskliwych, pokrwawionych okrzyków. Za chwilę obie zaczną tańczyć, trzepać się i wysokimi susami skakać do góry, a ryby w koszach, na wagach i ladach będą leżały spokojne i obojętne.

Trudno jest wyjaśnić, która przekupka zakradła się nocą i której kupcowej ukradła więcierz⁹¹ ryb z basenu.

Jednak podczas ostatniego wypadku nie było wątpliwości. Bowiem kiedy rano otworzono hale, skonstatowano, że w największym basenie ubyłoby ryb, ale przybyła kupcowa, której tu na noc nikt nie umieszczał. Jeśli chodzi o żywą wagę, można było uznać, że wszystko jest w porządku.

Stała po szyję w wodzie i na próżno starała się wydobyć. Niski, lilipuci wzrost i ogromna tusza zgubiły ją.

⁹⁰Hale — dwie bliźniacze hale handlowe położone w śródmieściu Warszawy, na osiedlu Mirów, wybudowane w l. 1899–1901, nazwane później Halami Mirowskimi. [przypis edytorski]

⁹¹więcierz — pułapka na ryby, sieć lub kosz wiklinowy w kształcie długiego walca. [przypis edytorski]

Pani Róża Kratka została skazana na sześć miesięcy więzienia. Była to ostatnia syrena Warszawy.

JUMPING⁹² LOTNICZY

Duży balon nie jest nowoczesną rozrywką. Stada ludzi, którzy trzymają za linkę w chwili odlotu, i potem ta trudna nawigacja, niby żeglowanie fregatą z końca osiemnastego wieku, jak i to wreszcie, że już poeta Trembecki⁹³ pisał wiersz o balonie, oto pokrótce powody, które umniejszają mój szacunek dla owych karminowych, żółtych i cytrynowych księżyców, które wczoraj wschodziły nad Warszawą.

Natomiast owe baloniki o pojemności stu metrów sześciennych, co to prawie zupełnie równoważą ciężar przyłączonego do nich człowieka i umożliwiają szybki spacer, niby w siedmiomilowych butach z bajki, są bardzo nowoczesne i powinny być używane nagminnie. Po co wam samochody, a w szczególności motocykle, kiedy można robić sobie kilkudziesięciometrowe skoki. Dwadzieścia kroków i kilometr drogi jest pochłonięty. Diabło piękny i malowniczy spacer.

Naturalnie na pustyni. Po mieście byłoby znacznie trudniej bawić się we fruującego aniołka. Wiadomo: druty, kamienice. Idziesz na przykład do Ziemiańskiej⁹⁴. Pierwszy krok zrobiłeś przed bramą twego domu, lecisz sobie ponad tramwajami, nad tłumem i samochodami, ale wiatr zbacza twój kierunek i opadasz na dach przejeżdżającego tramwaju 25, który zawozi cię aż na Pragę. Odbijasz się więc z dachu w kierunku mostu Poniatowskiego, bowiem musisz trafić na trzecią do kawiarni. Tymczasem zaczynasz jednak opadać na środek Wisły, dostajesz się na statek spacerowy Bajka i przy dźwięku orkiestry po pół godzinie wysiadasz na Bielanach. Zwijasz balonik, wsiadasz w taksówkę i wracasz do miasta.

Tak, to jest uciążliwe, ale na szczerą polską wsi te baloniki mogłyby oddać nieocenione usługi. Wychodzisz przed ganek, przyczepiasz sobie balonik do ramion i jednym krokiem wypłynąłeś ponad zabudowania. Opadasz na łąki, zrywa się stado kaczek, strzelasz, po czym odbijasz się lekko lewą nogą od ziemi i mkniesz za uciekającym ptactwem i tak sobie polami fruwasz i polujesz, aż do wieczora.

Uwaga myśliwi: radzę stosować jumping lotniczy!

Nie tylko myśliwi. Panie, panie w szczególności. Czy jest coś trudniejszego jak randka na wsi? Zakochani znajdują się od siebie w odległości kilkudziesięciu kilometrów i jeśli umówią się na randkę, to nazajutrz cała okolica już tylko o tym mówi. Stangreci opowiedzieli służbie, służba rodzinie i wszystko zaraz się wydaje. A kiedy ma się taki balonik, sprawa jest prostsza. Długimi krokami przechodzi się ponad zagajnikami, polami i miedzami i odpędzając zniechęconą dłonią skowronki wiszące pod sufitem nieba, dąży się ku sobie. Trudniejszy jest tylko moment spotkania. Wyciągacie ku sobie ramiona. Robicie jeden krok, żeby się powitać i niestety mijacie się, opadając na ziemię w odległości kilkuset metrów od siebie. Teraz trzeba zdjąć baloniki z ramion, przywiązać te fruujące wierzchowce do drzew, żeby przypadkiem nie odfrunęły, a co ma się dziać potem — to już przekracza zakres moich kompetencji.

A propos widoku, muszę jeszcze zaznaczyć, że przy ulicy Widok doszło do awantury, bowiem kilku młodych entuzjastów jumpingu lotniczego urządziło tam wczorajszej nocy wielkie zawody. Panowie ci skakali po ulicy zupełnie bez baloników — skutki były fatalne: zostali aresztowani za zakłócenie spokoju.

⁹²*jumping* (z ang. *balloon jumping*: skakanie balonowe) — dawny sport polegający na wykonywaniu długich, stumetrowych skoków przez człowieka podwieszzonego na pasach pod małym balonem; rozrywka popularna w latach 20. XX w. [przypis edytorski]

⁹³*Trembecki, Stanisław* (1739–1812) — poeta, szambelan królewski, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, współtwórca klasycyzmu stanisławowskiego; przypisywano mu m.in. wydany anonimowo w 1789 wiersz pt. *Balon*, zainspirowany głośnym wówczas balonowym lotem Francuza Blancharda nad Warszawą. [przypis edytorski]

⁹⁴*Ziemiańska* — przedwojenna kawiarnia z kilkoma filiami w Warszawie, pierwszy lokal mieścił się na ul. Mazowieckiej 12. [przypis edytorski]

NICZEMU SIĘ NIE MOŻNA DZIWIĆ

Gruby pan w meloniku w towarzystwie smutnego młodzieńca, który miał na głowie czapkę jakiejś nieistniejącej uczelni, stanęli na schodach przed Zachętą⁹⁵.

Młody człowiek, gestykułując z lekka, zaczął mówić monotonnym, fachowym głosem przewodnika:

— Oto gmach zbudowany jeszcze za pierwszych najazdów tatarskich, projektował go najmłodszy syn Piasta i Rzepichy, Stefan Szapiro, zaraz po narodzinach Chrystusa. Gmach ten służył wówczas do urzędu wystaw sztuk pięknych, co ochroniło spokojnych mieszkańców Warszawy przed dzikimi hordami Tatarów.

— W jakiż to sposób? — zapytał gruby pan w meloniku.

— Najeźdźcy w pierwszym rzędzie zdobywali zawsze ten najokazalszy gmach, licząc na bogate łupy i jasyr. Kiedy dostali się do środka, nie mogli dojrzeć nic do grabieży, natomiast ze ścian pędziły na nich zastępy wojowników, wymalowane przez naszych Kossaków⁹⁶. Dzicy, sądząc, że mają do czynienia z prawdziwym wrogiem, rozpoczynali walkę. W ciasnych salach tłoczyli się na portrety i żądni krwi rąbali je w zapamiętaniu. Wtedy spokojni tubylcy zamykali gmach na klucz i podpalali go. Po każdym najeździe odbudowywano ze zgliszczy ów pałac sztuki, zachowując jego przedpotopową architekturę.

Obok owego przewodnika i jego cierpliwego słuchacza przypadkiem znalazł się pan Stefan Niekluszko i z przerażeniem słuchał dziwacznych opowieści. Kiedy panowie udali się do wnętrza, pan Niekluszko poszedł za nimi. Gruby pan w meloniku i smutny młodzieniec w czapce nieistniejącej uczelni stanęli przed *Grunwaldem* Matejki⁹⁷.

— Oto widzimy przed sobą — zaczął znowu objaśniać młodzieniec — arcydzieło malarstwa polskiego. Jest to zabytek z czasów Dąbrowki i Wieliczki. Namalował to najstarszy z Kossaków na obstalunek jednego z podsekretarzów stanu w gabinecie Jagielly.

— Ciekawe — oznajmił pan w meloniku.

Tego było za wiele, świadek owych bujd wmawianych w zdrowego człowieka, ów Stefan Niekluszko podszedł do naiwnego słuchacza i rzekł z uniesieniem:

— Drogi panie, jako przygodny słuchacz pańskiego przewodnika uważam za swój obowiązek ostrzec go, że ten facet cynicznie nabija się z pana. To, co ten bezczelny typ wygaduje, nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną.

Skończył i spojrzał, szukając wdzięczności w oczach owego grubasa w meloniku, lecz ten wydawał się oburzony, nawet dotknięty do żywego. Podniósł pięści do góry, zapienił się i zaczął wykrzykiwać:

— To nie pańska sprawa! Co pana to obchodzi! Mój synek tworzy mi historię fantastyczną. Prawdziwa już dawno mi się znudziła i dawno już przeważnie nie jest prawdziwa. Chcę mieć dzieje dla siebie samego. Pracujemy nad tym już od lat kilkunastu. To moje prawo! Nie okradam pana! Nie czynię panu krzywdy! Czemu więc pan się miesza do naszych spraw, bezczelny młokosie!!! Bydlak, cholera!

JAK ZOSTAĆ CZŁOWIEKIEM SZCZĘŚLIWYM

Każdy z nas wielokrotnie zadaje sobie to pytanie i nikt dotąd nie znalazł odpowiedzi.

Jak zostać człowiekiem szczęśliwym?

A jednak mam na to sposób, odkryłem ów eliksir, jestem wynalazcą recepty na szczęście.

Człowiek, który chce zostać szczęśliwym, musi po pierwsze zerwać z własną rodziną. Zamiast rodziny należy wynaleźć coś innego. Ile bowiem kwasów, ile przykrości, które w późniejszym wieku włożą w wątrobę, powoduje nieprzyjemna, nie do naszego smaku

⁹⁵*Zachęta* — galeria sztuki w Warszawie, narodowa instytucja kultury; jej gmach został zbudowany w roku 1900 staraniem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

⁹⁶*Kossakowie* — krakowska rodzina malarzy znanych z dzieł historycznych i batalistycznych. [przypis edytorski]

⁹⁷*Matejko, Jan* (1838–1893) — malarz, autor obrazów o tematyce historycznej i batalistycznej, ukazujących wielkość dawnej Polski, dyrektor i wykładowca Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie; twórca m.in. obrazu *Bitwa pod Grunwaldem*, od 1902 znajdującego się w zbiorach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, od 1945 w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. [przypis edytorski]

dobrana rodzina. Rzecz jasna, że nikt z nas nie doбира sobie ciotek, wujów, siostr i braci. Są to postacie nadane nam przez naturę, zjawiska, z którymi musimy do większego czy mniejszego stopnia dzielić nasz pobyt na ziemi tylko dzięki więzom krwi.

Otóż kandydat na człowieka szczęśliwego musi sobie raz na zawsze powiedzieć: żadnej rodziny. Gdyby jednak jego więzy i zamiłowania do posiadania własnej rodziniki były rozwinięte w bardzo silnym stopniu, powinien zamiast rodziny zaangażować sobie aktorów, którzy za skromną opłatą w chwilach wolnych od gry na scenie potrafiliby grać świetnie rolę jego najbliższych.

Któż zagra lepiej wuja przyjeżdżającego na dwa dni do Warszawy, jak nie aktor wprawiony do ról tego rodzaju w wielu komediach? Kto jak nie podstarzała aktorka potrafi się wczuć w rolę właśnie takiej ciotki, jakiej koniecznie potrzebujemy?

Świetne siostry i znakomitych braci odtworzą nam artyści najmłodszego pokolenia.

Kiedy kandydat na człowieka szczęśliwego skompletuje sobie rodzinę w zależności od własnych upodobań, czas, żeby pomyślał o mieszkaniu.

Otóż jedynym mieszkaniem godnym człowieka szczęśliwego jest luksusowy hotel, bowiem mając własne mieszkanie, trzeba mieć własną służbę, a człowiek szczęśliwy nie może mieć żadnych podwładnych. Nikogo zależnego od siebie, tak jak on nie może być od nikogo zależnym. Wiadomo. Zupełna swoboda. Żadnych zależności, proszę państwa...

Jak widzimy, należy mieszkać w hotelu, mieć rodzinę złożoną z aktorów i dopiero wtedy pomyśleć o małżeństwie.

Otóż twierdzą, że jedyną małżonką godną człowieka szczęśliwego jest kobieta wprawdzie piękna, lecz absolutnie głuchoniema. Miłe to kalectwo jest zupełną gwarancją cichego, łagodnego i sielankowego pożycia domowego. Żadnych swarów czy przeciwności zdań, wypytywań i podsłuchiwań. Przecież to cudowne! Naturalnie, człowiek szczęśliwy nie ma prawa uczyć się rozmawiać na migi.

Kiedy człowiek ma już zamiast rodziny zwyczajnych aktorów, mieszka w hotelu i poślubił szczęśliwie głuchoniemą pannę, musimy pomyśleć o stroju dla tak promiennej jednostki.

Naturalnie będzie to jasnoniebieski frak, żółte spodnie i czarny, niezbyt wysoki cylinder.

Od rana do wieczora zawsze to samo.

Zdziwiony czytelnik może byłby skłonny rzucić pytanie, dlaczego właśnie ten strój. Doprawdy nie wiem, ale daję słowo, że tylko to ubranie jest na świecie strojem ludzi szczęśliwych. Zawołacie może, że dotąd nie widzieliście nigdy człowieka parującego w biały dzień w jasnoniebieskim fraku, żółtych spodniach tudzież czarnym cylindrze, lecz zapewniam was w odpowiedzi, że jeszcze nigdy nie udało wam się widzieć człowieka szczęśliwego.

A więc wyobraźmy sobie, moi mili, że niejeden z was, urzeczony perspektywą szczęścia, wynajął sobie aktorów, którym rozdzielił role rodziny, własną rozpędzając na cztery wiatry, zlikwidował mieszkanie i zamieszkał w hotelu, wreszcie, poślubiwszy głuchoniemą piękność, przybrał jasnoniebieski frak, żółte spodnie, błyszczący, czarny cylinderek, żyje już ze trzy lata w ten sposób i dochodzi do smutnego wniosku, że jednak nie jest szczęśliwy.

Czy to był błąd w moich obliczeniach, czy uwiodłem go i oszukałem? Nie! Po storkoć nie! Niech do mnie napisze, bo grunt to kontakt z czytelnikiem. Wtedy ze swej strony poradzę mu, żeby przestał chodzić w jasnoniebieskim fraku z żółtymi spodniami. Już po tygodniu otrzymam od niego list dziękczynny. Z kolei poradzę mu rozwieść się z głuchoniemą.

Ręczę, że ten człowiek będzie już prawie, prawie szczęśliwy. Kiedy jeszcze wyprowadzi się z hotelu i rozpędzi na cztery wiatry aktorów, na pewno niebawem z zachwytem napisze do mnie jeszcze jeden list, tym razem pełen oddania i podziwu:

„Dzięki panu jestem człowiekiem szczęśliwym”.

GZYMS, GRAFOMAN I SPODNIE

Pewna redakcja jest oblegana przez grafomanów, którzy przy pomocy wspinaczki po sąsiednich dachach dostają się oknem do gabinetu redaktora.

Otóż jeden grafoman przyjechał aż z Poznania z wierszem lirycznym, zwiniętym w laurkę, i obijał się po poczekalni, czatując na znakomitą pisarkę, od której spodziewał się poparcia u redaktora.

— Czy pani X. bywa o tej porze w redakcji? — zapytał woźnego.

— Nie, dopiero o piątej — odparł stary sługa, wilk redakcyjny, który czuje grafomanów przez skórę i obdarza ich najwyższą pogardą.

Wobec takiej odpowiedzi młody człowiek z Poznania postanowił udać się na spacer i powrócić dopiero o wskazanej godzinie. Warszawę chciał zwiedzić przy sposobności, ale nie chciał dźwigać z sobą wielkiej paczki, którą był objuczony.

— Zostawiam panu tę paczkę, jak będę o piątej, to odbiorę — rzekł do woźnego, który fruwał po redakcji wśród tropikalnego upału.

I poszedł...

Na stole została paczka o nieznanym zawartości.

Niebawem przyszła do redakcji owa znakomita pisarka. Woźny przypomniał sobie mętnego interesanta, zobaczył paczkę na stole i wszystko to razem skojarzył w dziedzinie własnych domysłów.

— Jest paczka dla szanownej pani. Przyniósł ją posłaniec z Poznańskiej.

— Z Poznańskiej? — zdziwiła się pisarka, przyjmując i rozpakowując przesyłkę.

Zdziwienie jej spotęgowało się bardzo, kiedy stwierdziła zawartość pakunku. Był tam czysty, biały kołnierzyk, krawat „marmurek” (związany na zawsze już w fabryce), czarna marynarka, spodnie w paski, lakiery przepite deszczem i jedna jedyna jedwabna skarpetka.

Zadumała się pisarka nad stosem męskiej garderoby. Nagle uśmiechnęła się. To było jasne. Po prostu ktoś przesyła zbędną odzież dla komitetu niesienia pomocy powodzianom.

Kazała więc woźnemu zapakować to wszystko z powrotem i natychmiast oddać w komitecie za pokwitowaniem.

O piątej zjawił się młody człowiek z Poznania. Woźny zameldował go u znakomitej pisarki, nadmieniając, że jest to ofiarodawca owej garderoby.

Kiedy prowincjonalny grafoman stanął przed biurkiem wytwornej pani, rozmowa potoczyła się w niespodziewanym dlań kierunku.

— Jestem panu bardzo wdzięczna...

— To ja mogę pani być wdzięczny, jeśli pani poprze mój wiersz.

— Pan pisze wiersze? To rzadko zdarza się u filantropów.

— U filantropów? Pani jest łaskawa nazywać mnie filantropem.

— Jestem zachwycona paczką z ubraniami, jaką pan zostawił u woźnego dla ofiar powodzi.

— Co, moje ubranie — powodzianom?! Gdzie jest ta paczka?

— Dziwi mnie pański ton. Paczka jest już przyjęta i spoczywa w składach komitetu.

Wyjaśniło się. Grafoman zapomniał o wierszu i zaczął biegać po redakcji. Wszelkie próby odzyskania jedyne go ciemnego garnituru okazały się bezskuteczne. Na domiar złego młody człowiek miał być wieczorem na oficjalnym przyjęciu i w tym celu wioził ów garnitur.

Po godzinie cała redakcja mówiła już tylko o spodniach z Poznańskiej.

Wreszcie administracja postanowiła zapłacić młodzieńcowi odszkodowanie, w zamian za pisemne zobowiązanie, że przestanie się starać o drukowanie swych utworów w owym piśmie.

Zdenerwowany młodzieniec udał się do kasowego okienka, a wtedy stary, redakcyjny, autentyczny gzyms samorzutnie oderwał się od sufitu i trafił go w głowę...

Autentyczne!

Grafoman uciekł i przestał być grafomanem.

Kasjerka wypadła za nim na ulicę. Gonila. Nic nie pomogło. Uciekł, potrącając przechodniów ulicy Marszałkowskiej.

Na drugi dzień z polecenia redaktora w redakcji zjawił się inżynier i dwóch robotników. Zainstalowano nowe urządzenie, oparte na zasadzie owego gzymsu. Obecnie wystarczy, aby stary woźny, który czuje grafomanów przez skórę, nacisnął dzwonek, a ciężki kawał gzymsu spada i nie rozbija się.

WUJ Z PROWINCJI

Mój wuj z Wileńskiego jest typem rotmistrza rosyjskich huzarów.

Okropny zawadiaka. Ale — jak sam twierdzi — bardzo sprawiedliwy!

— Ty wiesz — rzekł mi kiedyś w knajpie — a tak i twarz tego typa, co siedzi naprzeciwko nas, mi się nie podoba, o! Nie podoba!

— Ależ kochany wuju, niechże wuj się uspokoi... Siedzi sobie facet i je zupę. Ma prawo.

— Prawo ma, ale mi się nie podoba. Arogant jakiś!

— Przecież on nic wujowi nie zawinił.

— Sama twarz mi się nie podoba. To wystarcza.

Wuj zaczął przyglądać się wyzywająco elegancko ubranemu sąsiadowi, który poruszył się niespokojnie i zaczął ku nam nerwowo zerkać.

— A ja tak i trzasnę go po pysku.

— Przecież wuj nie ma żadnego powodu?

— Jakżeż? Nie policzkuje się ludzi bez powodu. Powód zawsze musi być.

— Ciekawym, co wuj wynajdzie przeciwko niemu.

— Zobaczysz.

Wuj z Wileńskiego zamyślił się głęboko. Zjedliśmy kilka dań w zupełnym milczeniu i byłem już pewien, że awantura z sąsiadem została zażegnana, gdy po pół godzinie ni stąd, ni zowąd mój agresywny towarzysz złożył serwetę na stole, odsunął krzesło, wstał ociężałe i podchodząc do nieznanego, spytał głośno, tak że cała sala restauracyjna mogła usłyszeć pytanie:

— Pan w Gródku Jagiellońskim był?

Nieznajomy zmierzył go przerażonym spojrzeniem.

— Gdzie?

— Pytam, czy pan w Gródku Jagiellońskim był?

— Nie rozumiem... Pan szuka ze mną jakiejś zaczepki?...

— Nie szukam żadnej zaczepki! Zapytuję! Pan w Gródku Jagiellońskim był?

— Dajmy na to, że byłem...

— Tu nie może być wątpliwości. Był czy nie był?

— Byłem.

— Aha! Więc to pan!!! — wykrzyknął apoplektycznie⁹⁸ wuj z Wileńskiego i wymierzył nieznanemu siarczysty policzek. Po czym powrócił do stolika, usiadł, rozłożył serwetę i sięgając po sztucce, rzekł do mnie szeptem:

— A widzisz. Powód zawsze musi być. Tak i znalazłem...

— A co by było, gdyby ów nieszczęśnik powiedział, że nigdy nie był w Gródku Jagiellońskim?

— No, wtedy tym bardziej by dostał!

EMERYT MALINIAK

Emeryt Maliniak od ósmej do trzeciej biuro mieć musiał. W domu je sobie założył. Nie żeby jakieś interesy na własną rękę prowadził. Przeciwnie. Przez całe życie był siłą pomocniczą.

Teraz urządził sobie raczej fikcyjną zabawę. Lecz jakże dotkliwą!

W pokoju dwa biurka ustawił. Jedno naprzeciw drugiego. Jedno było jego własnym biurkiem, a drugie biurkiem naczelnika, którego pan Maliniak sam zastępował.

Codziennie punktualnie o ósmej rano przychodził, a raczej przechodził z łóżka do biura i rozpoczynał wzorowe urzędowanie.

W pewnej chwili wstawał, kłaniał się i opowiadał: — Panie naczelniku, chciałbym zreferować podanie służącej Genowefy Nagmiotek.

Teraz przychodził do drugiego biurka, wkładał okulary i zmieniając ton, mówił z wyższością w głosie:

— Kochany panie Maliniak. Niepotrzebnie pan mnie niepokoi. Pan jest nazbyt wielkim służbistą. Nic tak nie utrudnia sprawnej działalności maszyny administracyjnej jak

⁹⁸apoplektycznie — w sposób właściwy dla apopleksji, nagłego wylewu krwi do mózgu. [przypis edytorski]

zbytnią gorliwość urzędników. Wiem, że w swoim szczeblu służbowym jest pan jednostką pożyteczną, ale uprzedzam pana, że przed wypiciem pierwszej szklanki herbaty nie zwykłem załatwiać podań petentów.

Teraz emeryt Maliniak wstawał, zdejmował okulary, zwracał się do pustego biurka naczelnika i zaczynał tonem pełnym uniżonej pokory:

— Panie naczelniku, podanie, o którym się ośmieliłem mówić, jest bardzo pilną sprawą aprowizacyjną. Jest to podanie Genowefy Nagmiotek, naszej wspólnej prywatnej służącej, w którym odnośna pracownica domowa ubiega się o pozwolenie udania się po zakupy do sąsiedniego sklepiku kolonialnego⁹⁹ w celu przyrządzenia dzisiejszego obiadu. Pozwolę sobie nadmienić, że wczoraj wcale nie jedliśmy obiadu, ponieważ podanie nie posiadało odpowiedniej ilości znaczków stemplowych i w załączeniu miało dwie fotografie zamiast jednej. Czy mogę wezwać petentkę?

Emeryt Maliniak naciska dzwonek, siada przy biurku naczelnika i przybiera ton wyższości.

Po chwili zjawia się służąca, a jednocześnie u drzwi wejściowych rozlega się niecierpliwy dzwonek.

— Proszę pana o klucz od frontu! Przecież dzwonek dzwoni! Pewnie panienka wróciła.

— Do kogo się zwracasz, idiotko jedna! Nie widzisz, że przy tym biurku siedzi sam pan naczelnik. Tyle razy ci mówiłem, że najpierw należy zwrócić się do odnośnego referenta!

Służąca z wyrazem rezygnacji staje przy pustym biurku, do którego po chwili przesiada się pan Maliniak. Tymczasem dzwonek zaczyna dzwonić coraz natarczywiej.

— Imię i nazwisko?

— Niechże pan da mi prędeż klucz od frontu. Przecież to dzwoni panienka.

— Proszę mi nie utrudniać urzędowania. Imię i nazwisko?

— Genowefa Nagmiotek.

— Zamieszkała?

— Ojej... Przecież codziennie mówię, że tutaj.

— Dobrze. Chcesz otworzyć drzwi wejściowe?

— Tak. Oj... Niechże pan da ten klucz.

— A podanie jest?

— Proszę pana, panienka dzwoni i dzwoni. Widocznie musi wejść do mieszkania!!!

A pan się bawi.

Teraz emeryt zatrząsł się z gniewu:

— Tu nikt się nie bawi! Trzydzieści lat tak pracowałem. Podanie złożyć na piśmie i bez gadania, bo prośby nie uwzględnię. Pan naczelnik wybaczy, że tak się uniosłem.

Służąca wychodzi do kuchni i po piętnastu minutach wraca z zapisaną kartką papieru. Dzwonek nie przestaje dzwonić. Emeryt triumfuje. Czyta. Rozkoszuje się. Wreszcie zwraca się do swej służącej:

— Niech petentka załączy znaczek, a jej podanie będzie prawdopodobnie załatwione pomyślnie. Znaczek może być stary, pocztowy. Tak jak zwykle.

Teraz czyjeś pięści i obcasy łomoczą, walą do drzwi.

— Panie naczelniku, przybyła tu przed chwilą moja służąca, Genowefa Nagmiotek, i złożyła podanie odnośnie otworzenia drzwi, do których nadzwyczaj energicznie dobija się moja córeczka. Podanie jest zgodne z odnośnymi przepisami, posiada odnośną ilość znaczków stemplowych... Moim zdaniem, należy je załatwić przychylnie.

Emeryt siada najspokojniej przy biurku naczelnika i włożywszy okulary, odpowiada:

— Kochany panie Maliniak, proszę kazać mi najpierw podać szklankę herbaty. Podanie rozpatrzę jutro w godzinach popołudniowych.

Służąca zaczyna płakać. Drzwi się trzęsą od dobijania.

— Panie naczelniku — zawodzi służąca — panie naczelniku, niechże pan się zlituje...

— W takim razie niech mi pan jeszcze raz zreferuje tę sprawę.

Maliniak składa okulary, wstaje, obraca się w kierunku pustego biurka i krzyczy nie bez zdenerwowania:

⁹⁹sklep kolonialny — sklep sprzedający egzotyczne produkty spożywcze i przyprawy sprowadzane z Afryki i Azji (gdzie wówczas znajdowały się kolonie państw europejskich). [przypis edytorski]

— Trzeba drzwi otworzyć...

Po czym siada, wkłada okulary i powiada:

— No jak trzeba, to nie widzę przeszkód. Proszę otworzyć...

Służąca bierze klucz, biegnie do przedpokoju, otwiera drzwi, przez pokój przebiega zdenerwowana córeczka, dopada do drzwi od łazienki i zaczyna się z nimi szamotać.

— Gdzie jest klucz? Gdzie jest klucz od łazienki? Przecież ja nie wytrzymam!

Służąca wyjaśnia jej spokojnie:

— A to panienka nie wie? Klucz od łazienki pan schował. Trzeba złożyć podanie, nalepić znaczki, załączyć wszystkie załączniki i dopiero czekać na decyzję.

— Tatusiu. Proszę o klucz, ja naprawdę nie mogę czekać.

— Imię i nazwisko?

— ...

— Imię i nazwisko??? Dlaczego nie odpowiadasz?

— Bo... już... za... póź... no...

POŻAR W MINISTERSTWIE

— Czuje pan swąd?

— Owszem, czuję...

Dwaj woźni pokręcili nosami, po czym obaj sięgnęli po szklanki z herbatą, dymiące na stole.

— W suterynie. W archiwach.

— Niech pan zajrzy.

— Sam pan zajrzyj.

Upili po małym łyku i pociągnęli nosami, niby na komendę.

— Chyba się pali.

— Na pewno!

Tymczasem kłęby dymu zaczęły buchać spod drzwi prowadzących do piwnic. Korytarz zaczął pokrywać się mgłą.

Woźni wstali.

Było już pełno dymu.

— Tutaj jest gaśnica. Zdejm pan i zgaśmy.

— Jak to się zdejmuje?

— Instrukcja stoi wypisana na gaśnicy. Czytaj pan.

Podstawili sobie krzesło i jeden z nich zaczął sylabizować.

— W razie niebezpieczeństwa pożaru należy ująć gaśnicę w ten sposób, aby trzymać rączkę czterema palcami, a kciukiem...

— Który jest kciuk?

— Ten najgrubszy.

— ...a kciukiem... nie mogę czytać... dym gryzie w oczy...

— Dobrze, ale którą ręką należy ująć gaśnicę?

— Chyba prawą. Gaśnice dla mańkutów mają rączkę z lewej strony...

Dym był coraz gęstszy. Nappełnił korytarz aż po sufit, wspinał się na wyższe piętra. Po chwili już całe ministerstwo wiedziało, że pożar na dole.

Pan minister wezwał sekretarza.

— Proszę, żeby odnośnie pożaru postępować zgodnie z instrukcją przeciwpożarową.

Sekretarz ministra zadzwonił do pana wiceministra:

— Pan minister prosi, żeby odnośnie pożaru postępować zgodnie z instrukcją przeciwpożarową.

— Halo? Z panem dyrektorem! Odnośnie pożaru proszę postępować zgodnie z instrukcją przeciwpożarową.

Dyrektor departamentu zadzwonił do intendenta gmachu:

— Instrukcję przeciwpożarową pan zna?

— Tak jest.

— Proszę się ściśle trzymać instrukcji!

Główny intendent wezwał swego zastępcę:

— Słuchaj Stefan, czy ty nie słyszałeś nic o instrukcji przeciwpożarowej?

— Mam bodaj w biurku.
 — To przynieś natychmiast.
 — Kiedy klucz od biurka zostawiłem w szarej marynarce, w domu.
 — Poślę rowerzystę. Przywiezie.
 — Pożar się szerzy. Trzeba postępować ściśle z instrukcją.
 — Poślij woźnego do najbliższego ministerstwa. Niech pożyczy instrukcję.
 Minister zaczął się denerwować przy słuchawce:
 — Czy postępujecie ściśle z instrukcją?
 — Tak jest, panie ministrze... Hallo... Z dyrektorem departamentu?! Jak postępujecie?
 — Ściśle z instrukcją... Hallo... Pan intendent?? Co się dzieje?
 — Posłaliśmy umyślnego gońca po instrukcję przeciwpożarową.
 Tamci dwaj woźni na parterze:
 — Nic nie mogę odczytać.
 — Wybijmy szybkę od sikawki.
 — Tak, a potem się okaże, że można było bez tego, i kto będzie płacił za szybkę?
 — Może i racja.
 Minister:
 — Dlaczego straż pożarna nie nadjeżdża?
 Wiceminister:
 — Hallo! Panie dyrektorze, co robi w tej chwili straż ogniowa?
 Dyrektor Departamentu:
 — Hallo! Dyrektor departamentu. Dlaczego, do cholery, nie ma straży ogniowej?
 — Jedzie!... Stefan!... Co za dym... Stefan... Schody pierwszego piętra już płoną...
 Tego draba z instrukcją jak nie ma, tak nie ma... Czyś ty dzwonił po straż?
 — Nie... Skąd??? Przecież instrukcji jeszcze nie przywieźli!

NA MADAGASKARZE¹⁰⁰

Zaraz z portu skręciłem w boczną ulicę i niebawem znalazłem się poza ostatnimi zabudowaniami osady. Teraz szedłem przez las dziewiczy pełen tropikalnych zasadzek i śpiewu egzotycznych ptaków. Nagle na wielkim głazie leżącym od wieków pod sędziwym bobabem ujrzałem dwóch tubylców, czarnych, opalonych na brąz.

W rękach trzymali łuki, u boków mieli przypasane kołczany. Jedynie białe ubrania i korkowe hełmy świadczyły o pewnej kulturze dzikusów. Jednak, może pod wpływem nastroju, jaki wionął od dzikiego otoczenia, zamarłem ze strachu i byłem świadkiem dość dziwnej rozmowy.

— Więc i pan tutaj? — pytał młodszy, chudy dżentelmen o wybitnie haczykowanym nosie.

— Przyjechało się, mam jechać na starość, wołę od razu — odparł gruby pan, coś przejściowego pomiędzy tapirem¹⁰¹ a hipopotamem.

— Nie przeszkadzam panu, że usiadłem na tej samej ławce?

— Proszę bardzo. A pamięta pan, jak siadywaliśmy koło siebie, tam...

— Kto by zapomniał. Taka żółta ławka. Całe szczęście, że tutaj tubylcy nie każą nam siadać na osobnych ławkach.

— Pan myśli, że oni nas lubią?

— Nie, ale myślę, że jeszcze w ogóle ławek nie mają...

Grubszy z dwóch panów zaczął wiercić się bardzo niespokojnie.

— Pewnie — rzekł z wyraźnym rosnącym zdenerwowaniem. — Dżiczyna!!! Czarne mięso!!! Psiakrew...

¹⁰⁰*Na Madagaskarze* — powstała w 1930 Liga Morska i Kolonialna stawiała sobie za cel pozyskanie dla Polski kolonii zamorskich: jednym z rozważanych rozwiązań był zakup od Francji wyspy Madagaskar, u wybrzeży Afryki. W 1937 roku wysłano tam misję rządową, której celem było zbadanie przydatności wyspy jako przyszłej kolonii. Liga oraz środowiska narodowców głosiły w tym okresie hasło „Żydzi na Madagaskar!”, w grudniu 1938 i czerwcu 1939 podczas posiedzeń Sejmu zgłoszono interpelacje poselskie w sprawie przymusowej emigracji mniejszości żydowskiej. [przypis edytorski]

¹⁰¹*tapir* — ssak nieparzystokopytny z krótką trąbą, żyjący w lasach tropikalnych Ameryki Śr. i Płd. oraz Azji Płd.-Wsch. [przypis edytorski]

— Czego pan się denerwujesz?

— Kanarki mnie przeszkadzają, Panu to nie dokucza?

— Nie, ja się drobiu nie boję. Niech sobie ćwierkają. Myśmy jeszcze tam mieli kanarka. Moja Malwina przywiozła go tutaj, ale uciekł do stada. Teraz ona chce mieć coś egzotycznego.

— Co tu można mieć egzotyczniejszego niż sama natura?

— Ona chce mieć wróbla...

— To jest egzotyczne?

— Pewnie. Widzi pan, tutaj egzotyczne jest: zając, krowa, wrona. Gdy już założymy tutaj ogród zoologiczny, to tylko takie zwierzęta będą w klatkach siedziały.

— No i co? Tego wróbla pan jej sprowadził?

— Napisałem do znajomego, żeby mi przysłał stamtąd, ale mi odpisał, że nie można.

— Dlaczego?

— Komisja dewizowa go nie przepuściła.

— Przecież to nie rubel — nie rozumiem...

— On też nie rozumiał, ale komisja odpowiedziała „wróbel-rubel... wszystko jedno”... I do środka go kazali patrzeć, czy we wnętrzu nie ma ukrytych dolarów.

— Ten znajomy?

— Nie... ptaszek.

— Ufff... czasy... Co pan myśli o tym krajobrazie?

— Krótkoterminowy...

— Co znaczy...

— Przez pierwsze parę dni jest bardzo pięknie, a po tygodniu jest już tak ładnie, że zupełnie nie można wytrzymać... Pamiętasz pan Śródborów¹⁰². Piasek i choinki. Czy pan wiesz, że tutaj nie ma choinek...

— To jak my najbliższą gwiazdkę spędzimy?

— Przyjdzie tego baobaba postawić w stołowym pokoju.

— Czasy co? A tam rosną takie piękne drzewa: Wierzbowe, Klonowe, Sosnowe, Brzoźowe...

Obaj tubylcy rozmarzyli się ogromnie i zaczęli lustrować otaczający ich drzewostan.

— Powiedz mi pan co to jest za drzewo?

— Gumowe...

— To z tego robią palki gumowe?

— Nie, z mniejszych...

— A tamto drzewo?

— Daktyloskopijne...

— Fe... policyjny krajobraz...

Zamyślił się głęboko. Myślałem, że już nic więcej nie usłyszę, gdy nagle grubszy, ów przejściowy okaz pomiędzy tapirem a hipopotamem, odezwał się z westchnieniem.

— Co słuchać w osadzie?

— Na otwarciu nowego sklepu pan byłeś?

— Gdzie?

— Wczoraj na ulicy Apenszlaka, pod dwunastym.

— Jaki sklep otworzyli?

— Bracia Pakulscy...

— No to co?

— Dziś im wybito szyby...

— Kto?

— Nieznani sprawcy...

— A co na to policja? Nikogo nie podejrzewa?

— Owszem. Młodego Hirszfelda. Ale nie ma dostatecznych dowodów.

— A gdzie pan mieszka?

— Na ulicy Moszkowicza... W murzyńskim domu... Ale od niedawna... Ja nie od razu stamtąd przyjechałem.

¹⁰²Śródborów — osiedle założone w 1922 wśród lasów i wydm, zaprojektowane jako miasto-ogród, w 1932 włączone do podwarszawskiego Otwocka. [przypis edytorski]

- A gdzie pan próbował osiąść?
 — We Wiedniu...
 — I co? Osiadł pan?
 — Na trzy miesiące. Bez zawieszenia.
 — A rodzinę pan masz jeszcze w Europie?
 — Tak. Mam ciotkę.
 — Gdzie mieszka?
 — W Berlinie...
 — ???
 — Jej tam dobrze...
 — Czy tam jest teraz inaczej?
 — Nie, ale ona jest w porządku z rodowodem.
 — Jak się nazywa?
 — Rozenbaum.
 — To jak może być w porządku?
 — Bo jej co do babek nic nie mogą udowodnić¹⁰³.
 — Nie rozumiem.
 — Widzi pan: ona pochodzi z podrzutek...
 — Powiedz mi pan, jaki pan miał tam interes?
 Gruby pan rozejrzył się po tropikalnym otoczeniu i odparł z głębokim westchnieniem:
 — Wstyd powiedzieć w takim ukropnym klimacie: miałem ślizgawkę...
 — To był dobry interes?
 — Zimą słaby, ale latem bardzo dobry.
 — Nie rozumiem.
 — Widzi pan, zimą to na mnie nakładali takie podatki, że musiałem dużo dokładać, ale latem, jak nie miałem żadnej frekwencji, to żadnych podatków nie płaciłem i wtedy prawie nic się nie traciło.
 — Ach! Czasy, czasy... Powiedz mi pan, czy na Madagaskarze jest już więcej nas, czy więcej tubylców?
 — My jesteśmy w większości...
 — To jak się pan zapatrujesz na sprawy mniejszości narodowej?
 Obaj panowie z dumą się wyprostowali i zaczęli rzucać dookoła siebie groźne spojrzenia.
 — No... nie ma co... Jak pan myśli? Numerus clausus¹⁰⁴ wprowadzimy?
 — Pewnie... I wie pan co... Po co mamy z nimi się bawić. Od razu niech mają osobne ławki!!!¹⁰⁵
 — A co pan myśli o murzyńskich sklepach?
 — Nic. Żałuję, że w nich nie ma jeszcze w ogóle szyb...
 — Pikiety, hę...
 — Albo wie pan co? Od razu niech emigrują...
 — Przecież oni tutaj się urodzili. Tu przyzwyczaili się od dzieciństwa. Ten kraj uważają za swój. Jakżeż można ich wyrzucać?
 — Nic mnie nie obchodzi... Niech emigrują...
 — Ależ dlaczego?
 — Przecież to mniejszość narodowa.

¹⁰³W Berlinie (...) Rozenbaum (...) w porządku z rodowodem (...) jej co do babek nic nie mogą udowodnić — Rozenbaum (niem.: Różane drzewo) ma postać typową dla nazwisk, jakie administracyjnie nadawano Żydom w XVIII–XIX w. w Austrii i Prusach: przez niecodzienne połączenie dwóch niemieckich słów. We wrześniu 1935 uchwalono w Niemczech norymberskie ustawy rasowe, znacznie ograniczające prawa Żydów; do Żydów zaliczono w nich wyznawców judaizmu, także byłych, oraz ich dzieci i wnuki bez względu na wyznanie. [przypis edytorski]

¹⁰⁴numerus clausus (łac.: zamknięta liczba) — norma ograniczająca dostęp określonej grupie osób do studiów wyższych lub pewnych zawodów przez ustalenie maksymalnej liczby bądź procentowego udziału osób z tej grupy. W Polsce międzywojennej narodowcy postulowali ustawowe ograniczenia tego rodzaju dla ludności żydowskiej, część placówek wyższych nieformalnie stosowała numerus clausus. [przypis edytorski]

¹⁰⁵niech mają osobne ławki — odniesienie do getta ławkowego, formy dyskryminacji Żydów postulowanej przez endeckie młodzieżówki nacjonalistyczne i wprowadzonej na polskich uczelniach w latach 30. XX wieku, polegającej na wydzieleniu odrębnych ławek dla studentów pochodzenia żydowskiego w salach wykładowych. [przypis edytorski]

CZERWONY KAPTUREK

Rozmawia dwoje dzieci.

— Dlaczego jesteś taki smutny?

— Przez *Czerwonego Kapturka*...

— Przecież to taka ładna bajka.

— Ładna, ale starszym nie można jej opowiadać.

— ?

— Znadto się przejmują. Myślą, że tak było naprawdę.

— A u mnie w domu starsi śmieją się z bajek.

— To tylko pozornie. U nas też się śmieli, a teraz cała kamienica z nich się naśmiewa.

— Przez *Czerwonego Kapturka*?

— Naturalnie.

— A jak to było?

— Widzisz, ja mam bardzo starą babcię i muszę się nią opiekować.

— Jak ty to robisz, Stefanku, przecież masz sześć lat?

— To nietrudno. W dzień babcia sypia, a w nocy cierpi na bezsenność. W dzień mam więc wolny czas, a w nocy opowiadam jej bajki lub daję nożyczki i kolorowy papier i każę jej robić wycinanki. Tydzień temu opowiedziałem jej o Czerwonym Kapturku. Bajeczka bardzo spodobała się babci.

— Nauczyła się jej na pamięć?

— Nie. O wiele gorzej. Znacznie gorzej. Przenicowała bajkę. Powiedziała, że byłoby znacznie zabawniej, gdyby nie wilk udawał babcię, ale pocziwa babcia przebrała się za wilka i zjadła Czerwonego Kapturka. Z początku to tylko tak mówiła, ale już na drugi dzień zrozumiałem, że coś złego się stanie. No i wyobraź sobie, stało się.

— Przebrała się?

— Tak. Twarz zakryła futrem, położyła się na schodach i czekała na dzieci sąsiadów, bo na tym samym piętrze mieszkają jedni państwo, których córeczka nosi czerwony kapelusik.

— No i co?

— Rodziców wtedy nie było, a ja pozwoliłem babci na ten żarcik, ale wszystko skończyło się bardzo nieładnie, bo kiedy tamta dziewczynka zjawiała się na schodach, babcia zaczęła wyc i...

— Dobrze wyla?

— Średnio. Dziewczynka przestraszyła się bardzo i obila babcię parasolem. Babcia narobiła krzyku i uciekła na ulicę, gdzie zbiegł się wielki tłum i dopiero policja odpro-wadziła babcię do domu, ale tatusia skazano w sądzie na pięćdziesiąt złotych grzywny za brak dozoru, bo okazało się, że babcia jest niedołączna i nie można pozwalać jej bawić się na schodach bez opieki starszych. A ja nawet myślę, że nie tak łatwo będzie znaleźć dla niej kogoś starszego, bo ona sama już ma osiemdziesiąt lat.

KOTY. PLAGIAT Z ANGIELSKIEGO

Wiadomo, że zwierzęta są ogromnie mądre i pan Stanisław Bączek wcale się nie zdziwił, kiedy pod swymi drzwiami usłyszał miauczenie.

Kot.

— Do mnie z wizytą?

Chrobotanie do drzwi rozległo się znowu. I znowu.

Może to bandyta z kotem na ręku?

— Kto tam?

Odpowiedziało przeciągłe miauczenie.

Pan Stanisław przekręcił zatrzaski i otworzył drzwi.

Na schodach stał kot i patrzył nań, przymrużywszy jedno oko. Potem podniósł przednią łapę, zamiauczał przeciągłe, raz, drugi i trzeci i zaczął ją oblizywać długim płomiennym języczkiem z wyrazem bólu na kosmatym pyszczku.

Pan Stanisław cofnął się do pokoju niezdecydowany. Kot wszedł za nim. Pan Bączek nachylił się nad nim, pogłaskał go. Kot podał mu łapę. Okazało się, że jest zwichnięta

i pokaleczona. Pan Stanisław obejrzał ją dokładnie, opatrzył, nakarmił kota. Wtedy kot przytułtał do drzwi wejściowych, zaczął skrobać i miauczeć. Pan Stanisław otworzył je. Kot czmychnął i znikł za zakrętem schodów.

„Zwierzęta są mądre” — pomyślał pan Bączek.

Nazajutrz jednak o tej samej porze pod jego drzwiami rozległo się miauczenie.

Otworzył je, sądząc, że spotka znajomego kota. Tymczasem do mieszkania weszły dwa inne. Oba cupnęły w przedpokoju i zaczęły oblizywać swoje łapy. Pan Stanisław stwierdził, że są pokaleczone. Opatrzył je, nakarmił oba koty i wypuścił.

„Zwierzęta są mądre” — pomyślał pan Bączek.

Nazajutrz pod jego drzwiami rozległo się chóralne miauczenie.

Otworzył drzwi i do mieszkania wskoczyły cztery koty. Opatrzył je, nakarmił i poszły sobie donikąd.

Nazajutrz zjawilo się osiem.

Następnego dnia szesnaście.

Potem trzydzieści dwa.

Nie miał już pieniędzy na leczenie i opatrywanie tego miauczącego stada, przy tym gospodarz zagroził mu eksmisją, bo całe rano schody były pełne rozżalonych kotów.

Pan Stanisław dobrał sobie asystentów, bo owego dnia, kiedy zjawiły się sześćdziesiąt cztery koty, o mało nie zadusiły go, ale mieszkanie zdemolowały.

Pan Bączek uciekł z domu, wynajął mieszkanie w innej części miasta, gospodarz oskarżył go o niezapłacenie komornego, niebawem odbędzie się rozprawa sądowa.

I kiedy wstał rano i pan Stanisław spał na nowym mieszkaniu lekkim porannym snem, pod drzwiami rozległo się przeciągłe miauczenie.

Wstał. Wyjął rewolwer. Odbezpieczył. Uchylił drzwi, już chciał strzelać do stu dwudziestu czterech kotów, które wskoczą do mieszkania, ale na schodach była tylko pustka. Jednak miauczało wyraźnie...

Zwierzęta są mądre. Szkoda, że tak rzadko bywamy zwierzętami.

W MINISTERSTWIE HUMORU. OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI

— ...Panowie, wezwałem was na konferencję... Ludzie są smutni. Ministerstwo humoru nie spełnia należycie swego zadania. Zabija nas zbyt duża biurokracja... Tak, panowie. Człowiek, który przychodzi do okienka którejkolwiek z agend naszego ministerstwa, stoi przez godzinę w ogonku, składa podanie i prosi, żeby go doweselić, nie może wyjść od nas bez uśmiechu... Księga zażaleń ma już dziesięć tomów. Musicie pilnować urzędników... Szczególnie na prowincji, gdzie jest większość niewykwalifikowanych sił, karmiących pententów dowcipami na najniższym poziomie...

Minister powiódł okiem po urzędnikach, sięgnął po jakiś arkusz leżący na biurku i ciągnął dalej:

— Oto jedno z zażaleń, świadczące, jak dotąd wyglądają nasze urzędy prowincjonalne...

Tu zaczął czytać:

„...Przybywszy do ministerstwa i chciawszy się doweselić, bo mam ciężkie życie jak nikt drugi na tym świecie, udałem się do miejscowej izby śmiechu i załączywszy dziesięć znaczków po dwadzieścia groszy, złożyłem podanie o systematyczne doweselenie mnie. Zaznaczam, że kłócę się z żoną i jeśli nie będę codziennie odpowiednio doweselany, to mogę popełnić zbrodnię. Urzędnik miejscowej izby śmiechu, owszem, przyznam, że śmiechem z okienka się wychylił, zaśpiewał do mnie miłą piosenkę, paperek wziął, znaczki przeliczył, ale powiada: »Po doweselenie do innego okienka musi się pan udać...« Idę, woźny mnie prowadzi i dowcipy mi opowiada. Nieśmieszne. Ale rozumiem. Siła pomocnicza, niewykwalifikowany... Pracownik fizyczny właściwie... Jasne, że nie może mnie doweselić. Pukamy do gabinetu naczelnika, a tam nikt nie odpowiada... Myślę sobie, no, naczelnik jak mnie znacznie bawić, jak mi znacznie opowiadać dowcipy, fraszki, bajeczki różne, to ja się będę śmiał dopiero... I po tygodniu tak mnie tutaj dowesela, że z żoną przestanę się kłócić i pokocham ją na dobre... Pukamy, a tam nic. Wreszcie wchodzimy na siłę. Pchamy się, jak wariaci... Patrzmy:

Naczelnik siedzi za biurkiem i płacze...

— Co się panu stało? — pytam naczelnika.
A on nic, tylko płacze.
— Żona — powiada — tak się kłóci, że wytrzymać nie mogę... A pan kto właściwie?
— Jestem na doweselaniu — mówię.
— Śmieję się pan z tego... — powiada naczelnik. — Ja pana nie doweseleję...
Poszedłem więc stamtąd i do okienka. Tam mówią:
— Trudno... Humor żywa rzecz... Przyjdź pan jutro...
Przychodzę jutro. Naczelnik mnie przyjmuje po godzinie. Nie płacze i dosyć wesoły jest. Pokazał mi palec kciuk, nakrył go chusteczką i powiada:
— Wiesz pan, co to jest?
A ja mu na to, że nie wiem...
A wtedy naczelnik chusteczkę zdjął i powiada:
— A kciuk jest...
Że niby miałem śmiać się z tego... Ja mu wtedy:
— Doweselać mnie szanowny panie naczelniku, bo z żoną się kłócę i jak tak dalej pójdzie, to ją zamorduję...
A on mi na to:
— A o co się pan kłóci?...
— Niedobra... — mówię.
A on:
— Moja to samo...
I jak zaczęliśmy rozpamiętywać nad naszymi żonami, to taka mnie złość wzięła, że zaraz poleciałem do domu i swoją kobietę zbilem.
Teraz, proszę wysokiego ministerstwa, mam sprawę z nią o odszkodowanie, a sam oskarżę ministerstwo, że to z jego winy, i sąd mi odszkodowanie zasądzi"...
Minister przestał czytać i odezwał się tymi słowami:
— Mają więc panowie wystarczający dowód, ile jest niedomagań w pododdziałach. Wydział personalny bywa zawsze podstawą zdrowej postawy położenia odnośnego ministerstwa. Zawsze.
— Tak, panie ministrze — zareplikował szef wydziału personalnego — ale ja też zbilem wszystko, co mogłem. Sprowadziłem tego petenta do ministerstwa na nasz koszt... Ma być doweselany w centrali. Pod moim okiem...
— A co pan zrobił z urzędnikiem, który w tak karygodny sposób lekceważył swoje obowiązki i powoduje ciężkie uszkodzenia ciała w rodzinie petenta? — przerwał minister.
— Wyrzuciłem bez wymówienia... Wtedy żona się z nim rozwiodła... Wobec czego przyjąłem go na nowo.
— I co?
— On się z nią znowu ożenił...
— Chciałbym zbadać całą tę sprawę skrupulatnie. Czy jest w tej chwili w centrali doweselań?...
— Zaraz sprawdzę...
Szef departamentu szybko poszedł do telefonu i nakręcił numer:
— Halo... Halo... Proszę z centralą doweselań... Kancelarię poczekalni... Czy jest tam Walenty Klipa?... Pacjent cierpiący na chroniczny smutek... Karta doweselań wystawiona w Pińsku. Jest... Na jakim oddziale?... Co?... Piosenki kabaretowe?... Czyście zwariowali? Przecież to półanalfabeta... Proszę mi natychmiast dać kierownika przychodni.
Minister srożył się i złościł:
— No, widzi pan, jakie to porządki u pana panują... Nie ma co...
— Panie naczelniku, przybywamy z panem ministrem na inspekcję...
Szef departamentu odwiesił słuchawkę zdenerwowany. Minister hupnął okiem bardzo złośliwie.
— Kochany panie. Ludzi o słabszej umysłowości trzeba doweselać cyrkowymi atrakcjami... Ostatecznie departament widowiskowy przydziela wam dostateczną ilość biletów do cyrków i kin...

Zebranie skończyło się. Wszyscy powstali z miejsc. Minister śpiesznie opuścił gabinet, a za nim podążyła cała czereda wyższych urzędników. Szybko minęli lśniący korytarz i wsiadli do szklanej windy, która z szumem zwiozła ich na dół, do sal przychodni. Cała część ministerstwa poświęcona na Centralną Izbę Doveselań była rzeczywiście urządzona wzorowo. Człowiek, który tutaj wchodził, nie powinien dłużej być smutny. W niektórych poczekalniach pełno było słońca, w innych cień, przepojony wilgocią wina i zapachem muzyki, sączącej się atlasowo. Wszędzie kręciły się piękne dziewczyny, kwitły kwiaty, stały dzbany z winem i tace z piramidami najsoczystszych owoców.

Wreszcie wszyscy znaleźli się w Wydziale Kabaretowym Centralnej Izby Doveselań.

Była to przestronna sala urządzona ultranowocześnie. Pośrodku, w głębokim fotelu, siedział jakiś typ o tępej i smutnej twarzy, a dokoła niego uwijało się dwóch docentów o szpiczastych twarzach intelektualistów.

Minister podszedł doń, podał mu rękę i gdy urzędnicy zaciekawieni zatrzymali się za progiem pokoju, zaczął łagodnie indagować pacjenta:

— Pan jest na doveselaniu?

— Tak.

— I co?

— Nic mnie nie śmieszy... — odparł ponury pacjent.

— Pan z Pińska... Warszawa podobała się panu, co?

— Za duża. Wszystkiego od razu nie widać, to i smutno na duszy.

— W cyrku pan był?

— A byłem.

— I nie doveselił się pan?

— A nie...

— Przecież tam ładnie?

— Iiiiiii...

— Co się tam panu najbardziej podobało?

— Właściciel cyrku.

— Cooo?

— A tak. Przed cyrkiem stał jakiś pan w meloniku i powiada: „Ładny mam cyrk...” „Ładny” — powiadam. On do mnie: „Mogę go sprzedać...” Ja się pytam, za ile... A on mówi: „Ile pan da?...” Mówię: „Na raty mogę kupić za dwa tysiące złotych...” „Ależ panie, cyrk jest własnością ministerstwa humoru, kosztuje milion”. Ja wiedziałem... Tylko tak z nim rozmawiałem, żeby doveselić się na własną rękę... Dałem mu pięćdziesiąt groszy a conto.

— Więc to tak? — krzyknął minister, już nie panując nad sobą. — Pracuje się nad panem, a pan na własną rękę się dovesela?! Pan potajemnie pędzi humor... Przecież od trzydziestu lat państwo ma monopol na humor. Powinniśmy zaraz panu spisać protokół!

— Przepraszam — wyjaśnił speszony pacjent — Ja tylko bezplanowo. Myślałem: „A nuż uda się doveselić?”

— I nie udało się. Na pewno się nie udało — z dumą podchwycił minister i powiódł po swych urzędnikach triumfalnym spojrzeniem. — A w kinie pan był? — rzucił Klipie już łagodniejsze pytanie...

— Byłem. Usiadłem koło jednej pani, co sama przyszła. Z początku ładnie było. Dużo, dużo, światła, ludzi, wchodzili, wchodzili, wchodzili. A potem światło się zepsuło i przez dwie godziny było ciemno, jak w pysk strzełił.

— A film?

— Nie widziałem, bo krótkowidz jestem.

— Trzeba było zabrać okulary.

— Zapomniałem.

— To czemu pan z kina nie wyszedł?

— Nie wyszedłem, bo myślę ja sobie, a nuż tym razem to już się doveselę?

— I doveselił się pan?

— Nie doveseliłem się, bo ta pani zaraz po twarzy mi dała... A u nas w Pińsku to często w kinie można się było doveselić.

Urzędnicy spojrzeli po sobie z przerażeniem. Takiego wypadku jeszcze nie było. Smutny przedstawiał jakiś kliniczny okaz tępoty.

— Muzykę pan lubi? — rzucono mu jeszcze jedno pytanie.
— Lubię, ale poważną.
— Jaką? Nowoczesną?
— Nie, ja to najbardziej lubię harmonię... Szczególnie jeśli z papugą, a jak kto na grzebieniu gra albo gwizdże, to ja tego nie lubię.
— Zupełny prymityw... Pan chyba nie ma radia w domu?
— Nie miałem gdzie postawić, panie ministrze.
— Jak to nie miał pan gdzie postawić?
— Gdzie nie postawiłem, to żona we mnie tym radiem rzucała.

Dyrektor departamentu zwrócił się do ministra, który wyjął właśnie chustkę i zdenerwowany ocierał pot z czoła, i rzekł do pacjenta:

— Co tu z panem robić? A jak się biją, to pan się śmieje, albo jak kota za ogon dla hecy wywiesić na sznurku, to bawi to pana?

— Ta gdzieby, panie ministrze, ja z kulturą obeznany...

Wszystkim opadły ręce.

Zapadła głucha chwila milczenia, wreszcie minister wydał wyrok:

— Nie ma co... Ministerstwo humoru jest po to, żeby nie było ludzi smutnych. Musimy pana odsmucić. Sprowadzi się tutaj pańską żonę z Pińska.

— To mnie nie doweseli.

— Po pół roku żonę odeśle się z powrotem... Od razu pan będzie weselszy.

— Ciężka kuracja, panie ministrze, nie zdzierzę...

Drzwi trzasnęły za ministrem wybiegającym w furii z izby doweselań... Urzędnicy poszli za jego przykładem i niebawem Walenty Klipa pozostał sam...

Po chwili wydano jakieś nowe dyspozycje, zjawiała się bowiem pielęgniarka w białym fartuchu, a dwóch rumianych sanitariuszy z lnianymi wąsami dobrodusznie wtoczyło na salę wózek operacyjny. Niebawem zjawił się doktor, poszeptał coś z sekretarką, zawirował białymi skrzydłami fartucha i zniknął.

„Będę operowany” — pomyślał Klipa i strach zdławił mu oddech...

Tymczasem pielęgniarka kazała mu zrzucić szpitalny szlafrok i położyć się na stole operacyjnym...

— Koniak — krzyknęła do jednego z sanitariuszy.

Sanitariusz skoczył do apteczki i przyniósł koniak...

„Będą mnie usypiać” — pomyślał pacjent. Wzdrygnął się z obrzydzeniem i w tej chwili wózek potoczył się ku sali operacyjnej, równocześnie w ustach poczuł palący smak koniaku...

Sala operacyjna przypominała coś pośredniego między wytwornym dancinikiem a małym luksusowym teatrykiem. Tylko orkiestra ukryta w głębi grała błękitnego walca... Pacjent z lekka już uspiony koniakiem, który pielęgniarka łyżeczką wlewała mu do ust, zdążył jednak rzucić okiem w kierunku łoża, gdzie dostrzegł wszystkich przed chwilą poznanych dygnitarzy...

Wózek zatrzymał się, przeniesiono go na fotel operacyjny i Klipa stwierdził, że cała sala jest przepelniona zapachem świetnych, wnikliwych perfum...

— Ósma trzydzieści sześć — rzucił lekarz. — Zaczynamy!!

Klipa skurczył się w sobie i pomimo narkozy, która łagodziła jego pierwotny lęk, oczyma duszy ujrzał zakrwawione noże, ostre śliskie szczypczyki, młotki do rozbijania kości i owe mdłe słodkawe naczynka, w których po operacjach chlupoczą krwawe strzępy, te wszystkie nerczki emaliowane, postrach opatrunków i koszmar szpitalnych pacjentów.

Tymczasem zdumionymi oczami ujrzał, że kurtyna na małej scenie rozsuwa się powoli. Rzęsisty snop zgęszczonego światła reflektorów już oświetla na scenie nagą, piękną śpiewaczkę.

— Panie doktorze — Usłyszał zdenerwowany głos ministra. — Jaki numer stosujecie do pacjenta?

— Piątkę męską polityczną!

— Za słaby środek...

Tymczasem ze sceny dolatywały już pierwsze słowa piosenki:

Po co ci złoty zegarek,
Gdy śpiewa złoty kanarek.
Konfitury ci z księżycą dam,
Nie spóźniaj się, bo zwiędną nam.

Klipa spojrział na scenę, obok dziewczyny stał teraz piękny młody chłopiec i odpowiadał jej nieskazitelnym, miłym głosem:

Przyjdę, a potem zagramy
W ping-ponga pomarańczami,
Uciekniemy z wszystkich miast
Balonikiem aż do gwiazd,
Już na księżyc wizy mam.

Teraz refren śpiewali razem, tańcząc z lekka po scenie.

Zakochani to tylko pijani
Piją miłość z ust do ust,
Od poranków są srebrniej wiośniani,
Jakby mają im w dłoniach rósł,
Noszą wiosnę po pustych kieszeniach,
Sercem dzielą się w swoich spojrzeniach,
Lubią łzy, wolą śmiech, lubią łzy, wolą grzech
Zakochani, jak ja i ty...

— To mnie nie doweseli — wyszeptał do lekarza...

— Niech się pan nie obawia, my tylko wprowadzamy pana w nastrój.

Tymczasem ze sceny płynął dalej czarujący śpiew aktorów:

Jedźmy odświętnym zwyczajem
W podróż błękitnym tramwajem,
Dość dancinów mam i kin,
Wsiądziemy aż na samym końcu szyn.
Kupię w tramwaju przesiadki
I przesiądziemy się w kwiatki,
A nasz tramwaj niby cień
Będzie jeździł cały dzień,
Lecz już nie wrócimy nim.

Zakochani to tylko pijani,
Piją miłość z ust do ust,
Od poranków są srebrniej wiośniani,
Jakby mają im w dłoniach rósł,
Noszą wiosnę po pustych kieszeniach...

— Dość, dość! — rozległ się rozkazujący głos naczelnego lekarza... — Tym go przecież nie doweselicie!!! Bardzo się dziwię, że pan jeszcze nie widzi, który numer należy stosować! Numer czwarty: półinteligencja...

— Zaraz, zaraz... Kurtynę... Kurtynę!

Zapadła kurtyna i od tej chwili na sali operacyjnej zaczęło dziać się niedobrze... Resztki koniaku już wywietrzały pacjentowi z głowy... Siedział teraz w fotelu operacyjnym i beczał...

Dano kurtynę i inna para aktorów zaczęła śpiewać inną piosenkę:

Miłość ma kolor czerwony,
A nuci ją z gwiazd niby z nut,

Po co nam dziś telefon,
Weź nożyczki i odetnij drut.
Powiemy, że nie ma nas w domu,
Że z miasta odpłynął nasz dom,
By całować po kryjomu
Czerwone usta miłosnym dniom.
Ukryjmy się przed światem,
By we dwoje tylko żyć,
By po plażach błdzić latem,
By się w górach zimą kryć.
Zaraz ci powiem bez narad,
Co w życiu potrzebne nam jest:
Fotograficzny aparat,
Kaktus, walizka i pies...
I odtąd bez żadnych wyrzutów,
Gdziekolwiek nam tylko się śni,
Możemy dwie pary półbutów
Wystawiać na noc za jedne drzwi...

Klipa rozbeczwał się na dobre.

— Czego pan beczy, przecież to ładna piosenka — zaczął go strofować naczelny chirurg...

— Właśnie ładna to ona jest... To i smutno — rozgadał się nagle pacjent, który miał wyjątkowo widać mocną głowę... — Pojedziemy, powiadają, w góry... Pojedziemy, powiadają, nad morze... Dwaj koledzy pewnie tak się namawiają i namawiają, a może nawet i trzej, a może czterej, a może dziesięciu, a może cała wycieczka???

— Dobrze im tak — ciągnął dalej, rozślimaczając się coraz słotniej — pewnie... Nieżonaci... obowiązków żadnych... i boso będą sobie biegali po tych morzach, na bosaka z siatkami za motylami, za tym wszystkim, co jest ta... kie... piękne... inne... od... mo... je... go... życia...

— Panie Klipa, panie Klipa — doktor rozpaczliwie zaczął tarmosić go za rękaw.

— Popłakał się w ministerstwie humoru! W centrali doweselań! — krzyczał minister zgorszony taką profanacją...

— Niech pani stosuje jakąś odsmutkę! — krzyknął naczelny chirurg do pielęgniarki. — Natychmiast!

— Koci koci łapci
Jedziemy do babci...
Szyję grzecznie umyjemy
I do babci pojedziemy —

zaryczała pielęgniarka, tańcząc dookoła chorego. Było jasnym, że już zupełnie straciła głowę...

— Niech pani stosuje czwórkę męską, a nie dziecinną — ryczał lekarz, który stracił panowanie nad sobą...

Zegar wskazywał dwadzieścia po ósmej...

Koci koci łapci
Jedziemy do babci,
ale ani słówka,
Że babcia Żydówka.

— Co pani wyprawia! Czemu pani stosuje czwórkę polityczną?... Proszę zwykłą męską... Pacjent płacze, a ona głowę straciła!!! Męska czwórka! Reflektory! Fontanny! Może pan zechce napić się wina.

— Ja niepijący.

— Owoców?

— Nie doweseli!

— Ciastek?

— Nie. — Pacjent szmurgnął zapłakany nos i rzekł do otoczenia, wskazując na korpulentną pielęgniarkę: — Ot, myślę sobie, że ja przy świadkach z tą panią nie potrafię się doweselić. — Nagle przypomniał sobie treść piosenki. — A oni tam w górach są pewnie z całą wycieczką... Na szczyty z ciupagami się pchają... Jak to tam było w piosence? Niech pani zaśpiewa... Buty zdjęli i na bosaka.

— Ukryjemy się przed światem — zaczęła niepewnie pielęgniarka, ale urwała, widząc, że perliste łzy toczą się po policzkach operowanego.

— O... tak... Żebym ja tak mógł się ukryć... To by było dopiero...

— Może jest naprawdę taka wycieczka? — Nagle otarł łzy i wstał, rzucając na obecnych siarczyste spojrzenia. — Panie ministrze, hasła przedwyborcze partii, która zwyciężyła, brzmiały: „Każda twarz ma prawo do własnego uśmiechu” i „Śmieję się dziś, a będziesz płakał jutro”, i „Śmiechu i chleba”, „Śmiechu dla wszystkich” „Pokaż mi, że się umiesz śmiać, a pokażę ci kim jesteś” oraz „Hej, hej, hej... śmieję się śmieję!!!”

— Operujcie, panowie, operujcie!... — zaczął wykrzykiwać naczelny lekarz. — Człowiek, który po wyborach liczy na przedwyborcze hasła, nie da się tak łatwo doweselić... Operujcie mózg... chirurgicznie...

Klipa skulił się w sobie... Był przerażony...

Teraz zawieziono go na prawdziwą salę operacyjną...

Wrzeszczał ze strachu...

Doktor przystąpił doń, aby zbadać stan serca przed zastrzykiem narkozy.

— Proszę oddychać... Nie oddychać... Oddychać... Dobrze! Proszę liczyć do trzech...

— Kiedy nie umiem.

— Musi pan umieć... Pan jest czwórka męska...

— A jak się nie doliczę! — przekomarzał się z lekarzem i pierwszy raz od kilku lat uśmiech pojawił się na jego twarzy. — No, panie doktorze, a jak się nie doliczę?

— Przepraszam bardzo... Czy pan przypadkiem nie jest wariatem?

— Naturalnie — odparł pacjent i zaczął trząść się ze śmiechu, tarzał się po stole operacyjnym jak po łące i ryczał ze śmiechu.

Do sali operacyjnej wpadli dygnitarze ministerstwa.

— No, nareszcie — zawołał minister z ulgą. — Doweselony!!!

BAJKA O ŻELAZNYM WILKU

Lokomotywa ciągnąca pociąg lekko zeskoczyła z szyn. Po prostu. Bez katastrofy. Zrobiła to tylko tak, pod wpływem łąki, która pachniała kwieciem.

Małemu mechanicznemu osiołkowi z linii Warszawa-Grójec nie chciało się po prostu ciągnąć nudnych, nadziewanych ludźmi wagoników. Zrzuciła ze siebie maszynistę i palacza, po czym bryknęła przez łąkę do najbliższego gaju. Jeszcze raz wyjrzała zza drzew, jak ktoś, kto bawi się w chowanego, i znikła.

Wagoniki same się potoczyły do najbliższej stacji. Zawiadomiono odpowiednie władze, zmobilizowano policję, straż ogniową i miejscowe stowarzyszenia, po czym zorganizowano obławę.

Pogoń osaczyła krnąbrną bardzo szybko.

Kiedy jednak kordon zacieśnił się dookoła jej legowiska, lokomotywa zaczęła szarżować na ludzi. Strzelano, bito gumowymi pałkami, nie pomagało. Wypadała na łąkę, popłószyła i z powrotem wracała sobie do gaju, pogwizdując szyderczą piosenkę zwycięstwa.

Jak ją obezwładnić?

Postanowiono zamorzyć głodem.

I rzeczywiście.

Kiedy miało się już ku wieczorowi, lokomotywa zaczęła ujawniać mniejszą aktywność. Dopuszczała śmiałków na kilka kroków do siebie i rzucała się na nich dopiero w ostateczności. Widać, że węgla już zabrakło.

Noc zapadła, i wszyscy byli dobrej myśli.

Straż rozpalila ognisko. Dziewczyny z pobliskich wiosek nadeszły spacerem. Śpiewano piosenki. Aż tu nagle lokomotywa wypadła, gulgocząc, z gaju, i krzesząc pęki czerwonych iskier, przemknęła po łące, napuszona jak indor.

Ścigano ją wśród ciemności, ale co to było za ściganie!

Wszyscy się poprzewracali!

Uciekła.

Odtąd słyszano o niej czasami.

Kto rozbił wagon i opróżnił go z węgla nazajutrz na najbliższej stacji?

Kto po dwóch dniach w sąsiednim, mieście powiatowym Kozice napadł w biały dzień na składy węgla Bartłomieja Apfelsztajna, sterroryzował personel i umknął z całą toną?

Kto w miesiąc później wjechał do pewnej znanej miejscowości wypoczynkowej, rozbił drewnianą willę, wykradł zapasy węgla z piwnicy i uciekł w kierunku najbliższych lasów, plosząc kuracjuszków i tratując cały sezon jesienny?

Wiadomo.

Lokomotywa.

Było o tym wiele sensacji w prasie.

Sz szczególnie świat naukowy głowił się nad rozwiązaniem zagadki. Powoli jednak wszyscy przywykli do tego faktu, a niebawem zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać, że z tą lokomotywą musiała być zwyczajna malwersacja.

Naczelnik stacji wraz z miejscowym dowódcą straży ogniowej, jednoosobnym maszynistą i jednoosobnym palaczem zostali nawet pociągnięci do odpowiedzialności sądowej i skazano ich w pierwszej instancji, kiedy nagle po całym kraju gruchnęła wieść, że pewien gajowy w Puszczy Białowieskiej spotkał na dukcie leśnym lokomotywę jadącą na czele czterech małych, nieletnich parowozików, o krętych, zielonych, niedojrzałych kominkach.

Co prawda gajowy był pijak i władze za ów raport przeniosły go z miejsca na emeryturę, ale niebawem w dyrekcji kolei państwowych przekonano się, że lokomotywy giną gremialnie, a z drugiej strony do departamentu leśnictwa zaczęły napływać coraz liczniejsze raporty, że po nadleśnictwach pełno jest śladów i odgłosów buszujących w głębi lokomotyw.

Jedna ze stołecznych gazet popołudniowych zamieściła sensacyjną wiadomość:

„Pierwsze dzikie lokomotywy pojawiły się w Polsce. Przewodzą w motoryzacji światowej”.

Komisja specjalna, powołana do zbadania sprawy, wyłoniła ze swego łona komisję mieszaną, która upoważniła podkomisję do zbadania sprawy w terenie.

Przy tej okazji jeden z dostojników państwowych wypowiedział głęboką myśl, którą odtąd cytowano jako motto wszystkich wstępnych artykułów: „Sprawa lokomotyw to sprawa naszego jutra”.

W związku z tym pewien uczony niemiecki wysunął hipotezę, że niebawem zaczną dziczyć rowery, samochody, samoloty i motocykle. Inny uczony wysnuł twierdzenie, że wszystkie zwierzęta i rośliny są dziczącymi maszynami stworzonymi przez prehistorycznego człowieka.

Tymczasem lokomotywy ginęły gremialnie.

Żadne ostrzeżenie parowozów, izolowanie nowych od starych, ostre rygory i system szpiegowski nie dawały pożądanego rezultatu.

Najgorsze było to, że dziczące parowozy napadały na swojskie, potęgując chaos w rozkładach jazdy.

Kradły węgiel.

Uprawdzały.

Musiano wstrzymać ruch kolejowy.

Przestano polować na zwierzynę, która z wolna zaczęła zanikać, stratowana i zagoniona przez mechaniczną konkurencję.

Los dawnej zwierzyny podzieliła wszelka roślinność. Chłopi, którzy tak lekkomyślnie dawniej skarżyli się na szkody wyrządzone im przez jelenie i dziki, mogli teraz stwierdzić, do czego są zdolne rozjuszone, bezkarnie ryjące się w roli maszyny!

Groził głód!

Najmodniejsze stały się polowania na lokomotywy.

Dyplomaci z całego świata oddawali się całą duszą tej wytwornej rozrywce.

Łowy były podobne do dawnych. Myśliwi stali na stanowiskach uzbrojeni w granaty ręczne o niezwyklej sile, a nagonka w czołgach napędzała zwierzynę na linię.

Dużo pisano o dublecie¹⁰⁶ do dwóch lokomotyw, który uwieńczył wszystkie dotychczasowe triumfy łowieckie pewnego dygnitarza zaprzyjaźnionego mocarstwa.

— Jak się powiodło wczorajsze polowanie?

— Zabiłem dwie lokomotywy i wspaniały okaz od pośpiesznego pociągu.

Ale pewnego dnia podczas polowania w Puszczy Kampinoskiej uciekł tank zatrudniony w nagonce.

Mniej więcej w tym czasie umorzono śledztwo przeciwko naczelnikowi stacji, miejscowemu naczelnikowi straży ogniowej i odnośnemu palaczowi oraz maszyniście, a prasa nazwała ich nawet „pionierami spod Grójca”.

Nie potrzebuję ukrywać tych wszystkich dziwów, które zaszły niebawem. Samoloty uciekały z lotnisk i osiadały na szczytach górskich, płosząc ostatnie okazy orłów. Samochody uciekały z garażów i błądziły po szosach, pod osłoną nocy napadając na stacje benzynowe. Nobel ogłosił upadłość. Do rowerów strzelało się z flowerów.

Najprędzej ludzkość wytępiła zdziczałe tramwaje.

Żyły one w pobliżu miast i każdy, nawet początkujący myśliwy miał kilka sztuk na rozkładzie. Zresztą czwórki, dwójki i siedemnastki nie należały do poważnych trofeów myśliwskich.

Łowiectwo stało się z biegiem czasu sportem prawie niemożliwym. Odkąd bowiem tanki pouciekały i pozmieniały się w tapiry, a granaty ręczne ryły się pod ziemią jak krety, ludzie szli do boju przeciwko nowej zwierzynie z maczugami nabijanymi krzemiennymi ostrzami.

Na wielkich wodach nie działo się lepiej. Okręty buszowały po morzach, a rybacy łowili je na sieci. Thuszcz okrętowy stał się uznanym środkiem leczniczym.

Nie potrzebuję dodawać, że łodzie podwodne znacznie wcześniej umknęły ze swych baz i żyły sobie cichym życiem rekinów.

Wreszcie kule karabinowe zaczęły uciekać ze składów amunicji i krążyły na wiatrach jak roje szarańczy.

Odtąd bezbronny człowiek wrócił do cywilizacji pasterskiej, paśł nieliczne krowy i bronił stad przed napadami lokomotyw i samochodów. Powstały legendy o żelaznych smokach.

W ogromnych, opustoszałych, skalistych miastach mieszkali tylko zawołani turyści.

Windy odfrunęły dawno w postaci balonów, balony były mikroskopijnymi księżycami współczesności, a spadochrony pływały w błękitach jak meduzy w morzach.

Nadeszły czasy głodu.

Próbowano odżywiać się surowcami.

Naftą, węglem i żelazem.

Umierano!

Kiedy ostatni ogród zoologiczny objedzono z eksponatów, ludzkość popadła w ludożerstwo.

Wiadomo, że kanibalizm niszczy człowieka psychicznie, rozbraja go duchowo, czyni skłonny do refleksji i wrażliwym na poezję. „Dziecięce mózgi smakują jak orzechy”.
Wiadomo...

Niebawem ludzie pozjadali się co do jednego.

Zostałem sam.

Wróciłem do domu.

Na schodach musiałem stoczyć zaciętą walkę z rurą gazową, która okręciwszy się dookoła poręczy, czatowała na zdobycz niczym wąż boa.

Kiedy szedłem do mieszkania, usłyszałem znajomy dzwonek telefonu.

Wyrzałem przez okno.

Siedział na sąsiednim drzewie, przeskakiwał z gałązki na gałązkę, po czym odfrunął do pobliskiego ogrodu, gdzie prawdopodobnie miał już własne gniazdko.

¹⁰⁶dublet — w łowiectwie: dwa oddane bezpośrednio po sobie strzały trafiające dwie sztuki zwierzyny. [przypis edytorski]

Nie zapalałem elektryczności. Przewody były już przecież od dawna soliterami nieznanymi żołądków. Nie dzwoniłem na służącą. Dzwonki były już przecież od dawna przyrządami dalekich rybołówstw.

Zapłakałem.

I samotny, opuszczony przez cywilizację, napisałem ten zwariowany felieton.

Skończyłem pracę, nabiłem w butelkę i wrzuciłem w odmęty.

Może kiedyś, w przyszłości, ktoś wyłowi te słowa.

NOCE WARSZAWSKIE

Sprawa jest bardzo poważna. Na podstawie poufnych danych stwierdzono niezbicie, że Warszawa na noc odpływa. Po bliższym zbadaniu owego zjawiska, stało się powszechnie wiadomo, że odpływa na Bliski Wschód. Tam przez całą noc pławi się w namiętym, pomarańczowym klimacie, po czym o świcie wraca i podczas dnia leży sobie niedbale rozwalona nad szarą Wisłą, w nizinnej, kartoflanej okolicy, gdzie przeżywa swe deszczowe nędze i prowincjonalne zawiści.

Dzień warszawski ma szaroniebieskie oczy. Kropla w kroplę podobne do oczu jej ubogich i jak owe sloty bezbarwnych mieszkańców.

Ale w nocy... Wystarczy zajrzeć do któregoś z dancingów, aby przekonać się, że Warszawa już odpłynęła z nad Wisły i oto żyje sobie w jakiejś wschodniej, zaczarowanej krainie, gdzie kryzys jeszcze nie dotarł, w krainie oszalamiających win i świateł, w krainie murzyńskiej, kędzierzawej muzyki. Nocna Warszawa pławi się w lepkiej zmysłowości. Wiadomo: jaki klimat — tacy ludzie. Toteż mieszkańcy tej czarnoksięskiej Warszawy są zupełnie inni. Czarni, nachalni, hałaśliwi, spleceni w namiętny tłum, rozdygotany ekstazą upalnych tonów, i wytarzani w rozdzierającej jaskrawości, którą chłepczą nubijskimi¹⁰⁷ wargami, grubymi i czerwonymi jak surowe mięso.

Paru jasnookich turystów z tamtej dziennej, krajowej Warszawy dość niepewnie płacze się między rozgorączkowanym tłumem niby podróżni jadący na gapę. Są to bowiem rdzenni, słowiańscy pijacy. Trudno, żeby nie byli pijani tym pomarańczowym, obcym klimatem. Odurzeni, szepcą więc tajemniczo:

— Patrz! Warszawa już odpłynęła...

— Mhmm! Okropne gorąco...

— Zdejmij kołnierzyk i marynarkę...

— Teraz jest mi znacznie lepiej... Proszę o jeszcze jedno whisky!

— Bardzo szanownych panów przepraszam, ale w Adrii nie wolno się rozbierać.

Przygotowania do podróży wyglądają bardzo prosto. Wieczorem, kiedy wybije siódma godzina, w Warszawie panuje elektryczny świt i neony zakwitają jak zwariowane, tropikalne kwiaty. We wszystkich mieszkaniach natomiast telefony przestają dzwonić. Zaczynają śpiewać.

Opowiadał mi pewien znajomy telefon, że jego życie byłoby szczytem nudy, gdyby nie ta zbawienna siódma godzina. Przez cały dzień musi nasłuchiwać cyfr i handlowych słów, tworzących nudną, telefoniczną rozmowę dnia pracy. Dopiero o siódmej te same głosy nabierają słodczy, a słowa koloru. Przeważnie koloru miłości...

Tymczasem na ulicach w obawie przed niebezpieczeństwem owej dalekiej podróży już się ryglują sklepy, już tłum, który leniwie dyszał na trotuarach, odpływa do mieszkań, żeby kluczami, łańcuchami i zatraskami bronić się przed jej tajemnicą. Ale Warszawa tai teatry, kina, koncerty i kawiarnie, niby kolorowe pułapki.. O, łatwowierni ludzie!... Przed pójściem do domu zachodźcie „na chwilę” do cukierni lub idźcie „do kina, a potem na pewno do domu”... Wielu z was już nie umknie tej nocy, co nadpływa jak czarna burza. Warszawa potrafi przetrząść z kawiarni do kin, a z kin do barów, żebyście tylko nie zauważyli jak i kiedy znajdziecie się pod inną szerokością geograficzną, w innym klimacie i pod innym niebem. Wtedy spróbujcie wracać do domu. Dom już jest o trzysta, o czterysta, o tysiąc kilometrów od was, w dalekiej, smutnej Polsce...

Zerknijmy na zegarek. Jest dopiero dziesięć po dziesiątej, a już na przedmieściach zaczynają pękać trotuary, rysują się bruki i place rozdzierają na dwoje. Mokotów oddziela

¹⁰⁷nubijski — przym. od: *Nubia* (kraina hist. w pln.-wsch. Afryce, obejmująca środkowy bieg Nilu pomiędzy Asuanem a Chartumem). [przypis edytorski]

się pierwszy i ginie w ciemności. Potem Powiśle, Wola, Muranów. Warszawa odrywa się od swoich przedmieść. Odplywa z wolna, a one toną w mroku, zrosnięte z nieprzeniknioną nocą okolicznych wsi i lasów i czekają na powrót tej dziennej stolicy, która ruszyła już z czarnym pluskiem, holując za sobą Sielankę¹⁰⁸ niby świetlisty jacht uwiązany u cienkiej, napiętej jak lina, szosy wilanowskiej.

Czy podróż będzie uciążliwa?

Ludzie zamknięci na klucze i rygle czują się niespokojnie. Zasuważą firanki i story, żeby noc nie chlusnęła im w oczy. Trzeba ich ratować przed niebezpieczeństwem owej podróży, bo mogą jeszcze wyjść z domu, a tam, po ulicach, zaczną przewalać się fale nocy, jak przez rozkołysane pokłady okrętu. Mogą zmyć spóźnionego przechodnia, porwać za burtę życia i strącić na dno. Punktualnie o jedenastej z kilku tysięcy suteryn wychodzi kilka tysięcy dozorców i człapie, niosąc przed sobą klucze niby rewolwery wymierzone w tę noc niespodziewaną jak każda noc powszednia.

Świat dnia oddziela się jeszcze jedną zaporą. Bramy zostały zamknięte.

Jest jedenasta.

Warszawa już odbiła od brzegów. Jest już na pełnym morzu... Tramwaje — to głupie bydło — zaczynają zdradzać wyraźny niepokój. Jak wiadomo, tramwaje nie piją wódki i nie mają żadnego życia seksualnego. Toteż czerwone ze złości, zgrzytające na zakrętach z pasji niepohamowanej i wiecznie dzwoniące obolałymi zębami, natarczywie gonią pijaków i zakochanych, starając się przejechać ich jak najwięcej. Naturalnie z zazdrości. Na domiar złego głupota, która nie pozwala im zjeżdżać z szyn i każe zatrzymywać się na przystankach, doprowadza niektóre bardziej nerwowe egzemplarze do tego, że wreszcie wpadają na siebie i wtedy ślepną z brzękiem tłukących się szyb. Niektóre znowu, zbłąkawszy się w swych najnudniejszych podróżach, nie mogą na noc trafić do remizy. I potem do trzeciej nad ranem fruują jak oszalałe, szukając czegoś po pustych ulicach, gonią, wariują, nie zatrzymując się na żadnym przystanku. Te byłyby groźniejsze dla zakochanych i pijanych, gdyby nie pocieszający fakt, że mają oni w nocy o wiele przyjemniejsze rozrywki od głupiego łażenia po szynach.

Właśnie pierwszy nocny tramwaj zaczyna się awanturować, mijając stado kolegów grzecznie wracających do remizy. W tej samej chwili autobusy, niby leniwe, zasapane tapiry, zapadają w miękkim błotku mroku, bezpowrotnie... Teraz nocna, mechaniczna fauna miasta zaczyna buszować. Pierwszy wyjeżdża żuk-samochód o wielkim, sześciennym szarym cielsku, zatrzymuje się ciężko na skrzyżowaniu ulic, wysuwa mały lebek osadzony na długiej gumowej szyi i zanurza go w kratownicy ściekowej. Wygląda to jak żyrafa u wodopoju. Potem pojawiają się dobroduszne auta-polewaczki i muskają nawierzchnie swymi siwymi, mokrymi wąsami, a szumiąc jak gigantyczne chrabąszcze, znikają za rogiem, aby pojawić się znowu, nagle i niespodziewanie... Wreszcie wylęgają nie wiadomo skąd jakieś ciemne, masywne centaury — dyszące, nieruchome lokomotywy-samochody. Mają tam swoją ważną, nieodgadnioną robotę. Ale dzieje się to już wtedy, kiedy trotuary kołyszą się, a kamienice przewalają z boku na bok. Widać po owym rozkolebaniu, że Warszawa odbiła daleko od brzegów wieczoru. Światła uliczne zmrużyły się sennie. Z kolei pogasły neony kin i teatrów.

Ludzie oddają się żywcem w ręce kelnerów. Przepraszam — najpierw szatniarzy. Jak wiadomo różnica pomiędzy kelnerem a szatniarzem jest taka, jak pomiędzy samolotem a balonem na uwięzi. Kelnerzy to uosobienie lotności i ruchu. Szatniarze natomiast muszą przez całą noc sterczeć w jednym miejscu i pomagać gościom w nierównej walce człowieka z paltem czy kaloszami. W odróżnieniu od kelnerów, którzy ubierają się w stroje cywilne (od ubrania toreadora zacząwszy, a skończywszy na zwykłym kitlu), szatniarze muszą nosić się po wojskowemu. Sterczą więc w mundurach dawno umarłych armii, słynnych z dawno zapomnianych zwycięstw. Jakies pikiety¹⁰⁹ czerwonych huzarów, czy ciemnozielonych strzelców, które przetrwały stulecie. Ma się wrażenie, że za chwilę wejdzie na salę generał¹¹⁰ Dwernicki¹¹¹ i zlustrokuje ten zbłąkany posterunek, ową dziwną wartę

¹⁰⁸Sielanka — przedwojenna restauracja w Świdrze na obrzeżach Warszawy. [przypis edytorski]

¹⁰⁹pikieta — dawna nazwa placówki wystawianej w celu obserwowania nieprzyjaciela. [przypis edytorski]

¹¹⁰generał (daw.) — generał. [przypis edytorski]

¹¹¹Dwernicki, Józef (1779–1857) — polski wojskowy, generał, dowódca kawalerii w powstaniu listopadowym. [przypis edytorski]

przed pękiem szubienic z martwymi płaszczami. Zresztą możliwe, że wejdzie. W nocy jest wszystko możliwe. Tylko jeszcze nie teraz. W barach i restauracjach odbywa się dopiero sortowanie pasażerów. Tu odrzuca się braki. Noc nie życzy sobie, żeby wszyscy dopłynęli do jej oszałamiającego kresu. Wybiera starannie materiał godny dalszej podróży. Ludzie o skwaśniałych humorach, wszelkie wybiórki, niedobitki i niedopitki muszą od paść. Tu bowiem jest pierwszy i ostatni przystanek podróżującej Warszawy. Jeszcze można wysiąść i wrócić do domu. Restauracje i bary gasną. Jest pierwsza. Godzina dancingów warszawskich...

Skrzydlate fortepiany już się szykują do melodyjnego odlotu. Orkiestra pali wielkie, srebrne fajki saksofonów. Płynie od tego durzący opar muzyki i owiewa pary. Zaczynają chwiać się, wydłużać, kołysać na parkiecie. Na stolikach rozkwitają cocktaile. Piękność znana z okładek pism ilustrowanych siedzi w towarzystwie popularnego przemysłowca. Dygnitarz i działacz społeczny nudzą milczeniem swoje wytworne towarzyszek. Tłum podangliczanych młodzieńców i rozwydrzonych panna — blichtr — ondulowana nuda.

Druga godzina jest przełomową w dziejach warszawskiej nocy. Zaczyna się banal — koszmar — bzdura. Z odaliskami¹¹² tańczącymi „jarmark perski”. Z Hiszpankami bijącymi w kastaniety. Z bananami, z winogronami, tanim winem i głupim, ponurym flirtem. Wydaje się, że już za chwilę pijana nawa¹¹³ osiadzie na mieliźnie. Na błyskotliwych łańkach tandety. Dygnitarz w towarzystwie pań i działacz przeszedł na chwilę zatańczyć do cocktail-baru. Przemysłowiec kupił różę swej towarzysce. W kolorowych światłach wyje brednia pod marmurowe niebo dancingu.

I właśnie wtedy to się zaczyna. Idzie od cocktail-barów jakimś zdaniem wypowiedzianym zbyt głośno, brzękiem szkła i tuszem orkiestry. I przychodzi ten moment, kiedy cały dancing wypił o jeden kieliszek za dużo. Sala zaczyna wirować. Nieznajomi piją ze sobą. Ludzie gubią się i odnajdują. Działacz z kieliszkiem ginu w ręku stoi na stole i przemawia do krzesła, które trzyma w wyciągniętej dłoni. Piękność z okładek pije wódkę szklankami z nieprzytomnym i absolutnie obcym pesymistą. Dygnitarz całuje się ze studentami i śpiewa. Popularny przemysłowiec tańczy solo jakiś fantastyczny taniec brzucha, a potem wybuch płaczem jak małe dziecko. Ucierają mu oczy krawatem i całują go szklankami koniaku. Trzeźwiejsi uciekają do domów. Z szatni wyfruwają płaszcze i same znikają za drzwiami. Kłaniają im się portierzy. Teraz dancingi zaczynają przerzucać sobie pijanych. Z Café Clubu¹¹⁴ do Adrii i znowu do Adrii. Już tylko koniak i usta, cocktail i światło, wino i dowcip, whisky i taniec, wódka i kłótnia, gin i zabawa. Warszawa wraca z podróży. W dancingach — panika.

Auta, taksówki i rozdygotane dorożki rozjeżdżają, rozwożą, rozrzucają na wszystkie strony. Jakiś samochód mknący po szosie wilanowskiej z trzaskiem wpada na słup telegraficzny. W podejrzanym, szoferskim szynku pijany młodzieniec we fraku pije wódkę z dorożkarzami. Przyjaźnie klepią się po ramieniu. Na Dworcu Głównym zjawia się dygnitarz i działacz. Są w towarzystwie białych, nieprzytomnych, opuchniętych z bezsenności fortancerek¹¹⁵. Dygnitarz wyjmuje z kieszeni pudełko od zapalek, patrzy i mówi z przerażeniem:

— Już szósta! Musimy choć na chwilę jechać do Zakopanego!

Wobec tego działacz biegnie do kasy, kupuje bilet do Krynicy i całe towarzystwo wychodzi na peron Warszawa–Poznań, by wsiąść do pociągu jadącego do Łodzi, a wysiąść na najbliższej stacji z potwornym kacenjamerem¹¹⁶.

Z Adrii wyszli dwaj ostatni goście i nie wiedzą, dokąd pójść.

— Cholera! Kiedy oni nareszcie wprowadzą te autobusy-bary. Będzie można, bracie, z dancingu do dancingu jeździć, nie przerywając pijaństwa.

— Nigdy! Zobaczysz, że nigdy! Gospodarz mojego domu od trzech lat głupiej cocktail-windy też mi nie chce założyć!

¹¹²odaliska — niewolnica w haremie sultana. [przypis edytorski]

¹¹³nawa (daw.) — statek, okręt. [przypis edytorski]

¹¹⁴Café Club — dawny warszawski lokal z dancingiem, znajdujący się w kamienicy Istomina na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. [przypis edytorski]

¹¹⁵fortancerka — fordanserka, płatna partnerka do tańca, pracująca w lokalach rozrywkowych. [przypis edytorski]

¹¹⁶kacenjamer (z niem.) — złe samopoczucie po przepiciu; kac, kociokwik. [przypis edytorski]

Warszawa powraca. Ze świtu wylaniają się przedmieścia. Dalekie zrazu. Nieosiągalne. Najpierw Mokotów. Potem Muranów, Powiśle, Wola. Z ulic znikają żuki-samochody, wąsate polewaczki, uciekają chyłkiem, szumią bocznymi ulicami. Na szynach już się indorzą pierwsze, czerwone tramwaje. Ludzie pracy czernią się na trotuarach. Jeszcze jakieś auto przemknie z nieprzepisową szybkością... Jeszcze w szatni jakiegoś dancingu ostatni gość szamoce się z własnym paltem i ani rusz nie może wyjąć prawej ręki z lewego rękawa, a tu już jacyś sprzedawcy z koszykami uciekają przed rowerowym policjantem. Rozwożą mleko. Ktoś tam jedzie w dorożce z nogami na koźle i spod kapelusza zsuniętego na czoło jednym okiem łypie na słońce. Zgrzytają klucze w bramach. Kuchty człapią po schodach. Nizinna, kartoflana okolica zaczyna przeżywać swe deszczowe nędzne i prowincjonalne zawiści.

Warszawa dobiła do brzegów.

Wróciła.

Z dworców gruchnęło tłumem przyjezdnych.

Kelnerzy, jak marynarze, co wreszcie znaleźli się w porcie, gwarzą teraz o minionych przeprawach i piją piwo Pod Cegielkami¹¹⁷...

¹¹⁷Pod Cegielkami — dawny warszawski bar przy ulicy Chmielnej. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/karpinski-sciana-smiechu>

Tekst opracowany na podstawie: Światopełk Karpiński, *Ściana śmiechu*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Zbigniew Malinowski.

Okładka na podstawie: Paul Downey@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5695-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).